Nr. 3. Kraków, lipiec 1908 r. Rok I.

STRAŻ POLSKA

wychodzi w pierwszych dniach każdego miesiąca.

Prenumerata „Straży Polskiej“ na rok 1908 wynosi **2 kor.** — dla członków „Straży Polskiej.“ **1 kor.** (z przesyłką pocztową). Numer pojedynczy **30 hal.**

Adres Redakcyi:	Wydawca i redaktor odpowiedzialny:	Adres Administracyi:
Kraków, Rynek główny L. 39.	**Kazimierz Bartoszewicz.**	**Kraków, ul. Floryańska L. I.**

Aforyzmy[1]).

Antynacyonalizm w Polsce odznacza się tem, że uznaje wszelkie wewnętrzne nacyonalizmy, z wyjątkiem polskiego.

Kłamstwo jest chyba bardziej nagie niż prawda, albowiem stale od niej szat pożycza.

Gdyby ludzie byli zdolni do krytykowania samych siebie tak jak krytykują swych bliźnich, pojawiłaby się na świecie nowa choroba, która zwałaby się samowstręt.

Istnieje coś jeszcze głupszego od optymizmu, który często uchodzi za głupotę, a mianowicie pessymizm, jeśli chce uchodzić za rozum.

Każda żywa istota naprzód umiera, a potem dopiero gnije. Wyjątek stanowią państwa i rządy, te bowiem poczynają gnić przed śmiercią.

Głupi i tyrański rząd jest to młot, który myśli, że gwoździe istnieją tylko na to, żeby miał kogo bić po głowie.

Dzieje uczą, że najgorszym tyranem jest taki władca, który w jednej osobie jest demonem i durniem.

Najpotężniejszym sprzymierzeńcem narodów uciśnionych jest król Postęp.

W sztuce istnieją rozmaite szkoły i kierunki, ale kto ma swój własny powóz, ten nie jeździ omnibusem.

Państwa są jak dywany: potrzebują od czasu do czasu przetrzepania.

Gdyby Chrystus zstąpił powtórnie na ziemię i począł nauczać pod rządem pruskim, zostałby niechybnie wydalony, jako: „uprzykrzony cudzoziemiec“.

Henryk Sienkiewicz.

Do wód! na lato!

Niema chyba miasta, a w mieście niema domu, w którymby teraz nie myślano: dokąd wyjechać. W wielu domach należałoby przedtem pomyśleć za co wyjechać, ale o tem nie myśli się wcale, bo wziąć, skąd wziąć — ale wyjechać się musi.

Jednemu zdrowie nie dopisuje, i lekarz zapowiedział mu już w zimie, że w lecie trzeba będzie koniecznie wyjechać gdzieś „do wód“, inny zdrów, ale przepracował się trochę, potrzebuje wypoczynku, powietrza, słońca, kąpieli, więc wyjeżdża „na lato“, niejeden i tego nie potrzebuje, bo mieszka w małem górskiem miasteczku, gdzie ma najlepsze warunki zdrowotne, ale cóżby powiedziano, gdyby on nie wyjechał, skoro wyjeżdżają wszyscy?

A więc... wyjechać się musi.

Czy tak?... nie zawsze, ale często istotnie... wyjechać się musi. Tylko dokąd?... O tem nie myślimy, a raczej nie tak myślimy, jakeśmy powinni.

O ile ktoś istotnie jedzie dla leczenia się, to najczęściej lekarz wskazuje mu zdrojowisko, choć często ustąpić musi naleganiom pacyenta, mającego prócz zdrowia i inne względy na oku: „Tu drogo, tu już byłem, tu nudno, tu nikt nie jeździ, — albo, tu już wszyscy jeżdżą“, i tym podobne poważne przyczyny.

Tylko o jednem nie pomyślimy nigdy — do kogo jedziemy, komu oddajemy z trudem zapracowane pieniądze, kto się nimi zbogaci. „To obojętne — mówimy — tu idzie o zdrowie“. Uwaga byłaby słuszna, gdyby tego zdrowia nigdzie indziej nie można było znaleźć.

Więc jeździmy oddawna do wszelakich badów i kurortów niemieckich, jak żeby Pan Bóg wyjątkowo umiłował ten naród i jemu tylko dał źródła lecznicze, których nigdzie zresztą nie znaleźć. Jeździmy tam, bo Niemcy umieli wodom swoim nadać sztuczny rozgłos, bo po kupiecku ułatwili nam przyjazd do siebie, jeździmy, bośmy już do nich przywykli, jak ów Pińczuk czy dyabeł do błota. Jeździmy, nie pomni, że dzisiaj, kiedy krzyżactwo wypowiedziało nam śmiertelny bój, kiedy nie żyć nam obok nich i wspólnie z nimi, tylko na swojej ziemi albo zwyciężyć, albo zginąć, kiedy nie mogąc przeciw nam postawić mnicha, który „nabija strzelbę i liczy różaniec“ wysyłają na podbój kupczyka, który nas niszczy ekonomicznie, że dzisiaj każdy, kto bez koniecznej potrzeby oddaje w ręce wrogów piędź ziemi lub garść grosza, to jakby na polu bitwy oddawał mu szablę i kładł szyję w pętlicę. Jeździmy, jak za czasów, kiedy jeszcze Mickiewicz miał prawo powiedzieć: „I Niemcy są ludzie“ — a wierzyć, że tylko „krzyżackiego nie ugłaszcze gadu“.

Dziś krzyżakami stali się wszyscy, dzisiaj nie tylko sejm pruski uchwala wywłaszczenie z ziemi, ale i sejm Rzeszy wotuje wywłaszczenie z języka; dziś, kto wspiera wroga we walce przeciw swoim, ten albo bez rozumu, albo bez czci.

Czy więc zachodzi konieczna potrzeba jeżdżenia do wód niemieckich. Nie! Tak orzekli znawcy tej sprawy, lekarze.

Kiedy przed 22 laty rozpoczęły się rugi pruskie, ogłosił dr Henryk Dobrzycki w czasopiśmie warszawskiem „Medycyna“ obszerną pracę: „Jakiemi zdrojowiskami i lecznicami innych krajów zastąpić się dadzą zdrojowiska i lecznice pruskie“. Z pracy tej wynika, że „w największej liczbie przypadków wystarczą zdrojowiska na ziemiach polskich, a to, czego nam braknie, można znaleźć w krajach koronnych Austryi“.

W roku 1901 zdwoili Prusacy prześladowanie Polaków, i wtenczas warszawskie „Tow. hygieniczne“ zbadało ponownie i porównało wody pruskie z naszemi, a na podstawie tych badań ogłosił znowu dr Dobrzycki w „Medycynie“ z r. 1902 artykuł pod tytułem: „Zdrojowiska i miejscowości lecznicze w Niemczech oraz nasze względem nich stanowisko“.

Równocześnie zamieścił „Kurjer Warszawski“ tablicę porównawczą wód niemieckich z wodami polskiemi i innych krajów, zawierającą rozbiór chemiczny i inne właściwości tych wód. Obecnie znowu zamieszcza „Kurjer Warszawski“ tę tablicę, z której się okazuje, że wszystkie wody niemieckie można zastąpić bądź polskiemi, bądź innemi, a dr Dobrzycki kończy artykuł swój następującym ustępem:

„Jeżeli przed laty kilku takie poglądowe zestawienie wód niemieckich z wodami naszemi i wodami innych krajów miało racyę bytu, to dziś, wobec zaciekłości krzyżackiej, która dosięgła ostatnich krańców nieznanego w dziejach rozbestwienia, racya ta jest jeszcze większa. Nie należy bowiem zapominać, że człowiek leczący się nietylko potrzebuje skutecznych wód, i umiejętnego ich zastosowania, lecz i warunków psychicznych odpowiednich. Spokój, życzliwe otoczenie i poczucie, że się nie jest wyjętym z pod prawa, są to również warunki, bez których leczenie nie może być uwieńczone pomyślnym skutkiem“.

Że Królestwo poważnie myśli o bojkocie wód pruskich, dowodzi także i „Głos Warszawski“, poświęcając wstępny artykuł tej sprawie. Artykuł ten pomija względy polityczne i narodowe, zupełnie słusznie uwzględnia tylko kwestyę zdrowia, ale pragnie „teren dyskusyi oczyścić ze wszelkich przesądów i konwencyonalnych kłamstw“.

Przesądem takim, któremu ulegamy w wielu dziedzinach, nawet w dziedzinie zdrowia, jest „Zagranica“, dotąd jeszcze magiczne dla wielu słowo, które starczy za wszelkie dowody i rozumowania, „kłamstwem zaś jest wtedy, gdy pod pretekstem zdrowia jedziemy tam poprostu na cygara i piwo, do tinglów i cassinów, na ruletki i petits chevaux, po koronki i fatałaszki“.

Dalszym błędem jest nieznajomość krajowych zdrojowisk. „Nie wiemy wcale o własnościach naszych wód krajowych, niedoceniamy własnych urządzeń leczniczych, dziś już często wzorowych, nie podejrzewamy, że uzdrowiska leśne i górskie w tym kraju więcej są warte niekiedy od rozreklamowanych zagranicznych choćby dlatego, że leżą na dziewiczych jeszcze, nie zatrutych chorobami, zwiezionemi z całego świata, terenach“.

„Głos warszawski“ nawołuje dalej:

„Pamiętajmy o tem: że po 1) niemal wszystkie środki lecznicze znajdziemy w obrębie ziem polskich lub słowiańskich, że po 2) Galicya powinna nam zastąpić „zagranicę“, że po 3) jeżeli wogóle w Niemczech są jakieś wody cudowne a niezastąpione, to sprowadźmy je do Ojcowa lub pod Karpaty, a skuteczniej pomogą, niż połykane wraz z pogardą i upokorzeniem w faterlandzie hakatystów“.

Aby zebrać dokładne dane, któreby ułatwiły wybór wód krajowych, otworzył „Głos warszawski“ ankietę, mającą objaśnić następujące pytania:

1) Jakie zdrojowiska i zakłady posiadamy w kraju, i o ile one nam mogą zastąpić zagraniczne?

2) Dokąd należy kierować się w wypadkach, gdy środki krajowe nie wystarczają?

3) Jakiemi środkami rozporządzają w zakresie lata i wakacyi w wielkich miastach polskich rozmaite warstwy społeczne.

Z wynikami tej ankiety zapoznamy później naszych czytelników.

Jak na ten rok, ankieta może nieco zapóźno rozpisana, ale... „lepiej późno niż nigdy“. Sprawa to zbyt ważna i trudna, aby ją można doraźnie załatwić, i chociaż w tym roku niewiele się już da zrobić, dobrze, że przygotuje się materyał na rok przyszły.

Zestawienie porównawcze, ułożone przez dra Dobrzyckiego w „Kurjerze Warszawskim“ z dnia 12 maja 1908 r. nr 131, może już i teraz dostarczyć bardzo cennych wskazówek, i ludziom dobrej woli, mającym poczucie obowiązków narodowych, ułatwić wybór krajowych zdrojowisk.

Z uznaniem podnieść należy, że Królestwo Polskie, jak wogóle w sprawach bojkotu Prusaków, tak i w tej dziedzinie, wyprzedziło nas, działa praktycznie i konsekwentnie, czego dowodem choćby obydwa omówione wyżej artykuły pism warszawskich.

„U nas inaczej!“ Ani prasa codzienna, ani zawodowe pisma lekarskie nie zajmują się tą sprawą tak, jakby ze względu na jej doniosłość należało. A lekarze mogliby dużo zdziałać, zwłaszcza, że mają bardzo dobre organizacye zawodowe. Czyżby one się ograniczały wyłącznie do obrony interesów stanu lekarskiego? Chyba nie; znając lekarzy, których większość odznacza się wysoko wyrobionem poczuciem obowiązków obywatelskich i umie się nawet osobiście poświęcać, nie przypuszczamy, aby

[1]) Aforyzmy te przysłał nam Henryk Sienkiewicz z następującym listem:

Szanowny Panie! Czem chata bogata, tem rada — więc przyłączam tymczasem kilkanaście aforyzmów. Przydadzą się one może „Straży“, a w każdym razie [illegible] [illegible]. Z wysokiem poważaniem

Henryk Sienkiewicz.

inny duch panował w ich organizacyach, i nie wątpimy, że tam, gdzie nawet o poświęcenie nie chodzi, tylko o trochę trudu, powołane koła zorganizują i na tem polu obronę przed zaborczością hakaty.

Ponieważ wiele osób wyjeżdża nawet bez porady lekarza, konieczne jest wpływanie na szerokie koła i uświadamianie ich, a że pisma lekarskie czytają tylko lekarze, otwieramy w „Straży Polskiej" łamy dla piór fachowych, i zwracamy się do kół lekarskich z uprzejmą prośbą o zabranie głosu w tej sprawie. *Dr. Kazim. Jordan Rozwadowski.*

O prawie wywłaszczenia polskiej ludności w zaborze pruskim.

Odczyt Dra Zygmunta Dziembowskiego.

Na zaproszenie „Towarzystwa pielęgnowania nauk społecznych" wypowiedział Dr. Dziembowski w dniu 25. czerwca br. w auli „Collegii novi" odczyt: „O prawie wywłaszczenia polskiej ludności w zaborze pruskim".

Uznanie należy się Towarzystwu, że postanowiło zapoznać nas bliżej z tak doniosłą sprawą, i że uprosiło o przedstawienie jej nam tak wybitnego działacza na polu społecznem i narodowem w Wielkopolsce, tak obeznanego ze sprawą tą z bliska, jak Dr. Zygmunt Dziembowski, poseł na sejm rzeszy niemieckiej i były członek komisyi, zajmującej się w sejmie pruskim sprawą wywłaszczenia; podzięka należy się Drowi Dziembowskiemu, że w wykładzie swoim przedstawił nam tak jasno i położenie braci naszych pod zaborem pruskim, i przypuszczalne skutki wywłaszczenia, i środki obrony.

„Jedno jest prawo — mówił Dr. Dziembowski — niezmienione mimo pleśni wieków, które przetrwało różne systemy filozoficzne i prawne i dziś jeszcze stanowi etyczną podstawę świata: Prawo dziesięciorga przykazań".

Na dekalogu stoi ludzkość cała, bez różnicy wyznań.

Jednostka, która gwałci prawo własności drugiej jednostki, nazywa się złodziejem, — kto narusza samą zasadę tego prawa, jest anarchistą. Obaj są niebezpieczni dla wszelkiego porządku społecznego, drugi — rozumie się — w wyższym stopniu niż pierwszy. To też gdy w lipcu roku zeszłego sądzono w Berlinie anarchistę rosyjskiego, sąd uzasadniał bardzo surowy wyrok tem, że oskarżony targnął się na istotę prawa własności, która jest podwaliną wszelkich społeczeństw, a więc i królestwa pruskiego.... W miesiąc potem, królewski rząd wniósł projekt ustawy o wywłaszczeniu.

Sąd o etycznem znaczeniu ustawy wypowiedział cały świat cywilizowany jednomyślnie. Dość przypomnieć wynik ankiety Sienkiewicza, albo dyskusyę w austryackiej radzie państwa. Sprawiedliwość każe przyznać, że i wśród Niemców podniosły się głosy ostrej krytyki, sprzeciwu, a przynajmniej przestrogi. Przeciw ustawie oświadczyło się całe stronnictwo katolickie, z kardynałem Koppem na czele, który nigdy nie był przyjacielem Polaków. Głos protestu zabrzmiał i po przeciwnej stronie izby, stronnictwa lewicy i socyaliści także potępili myśl wywłaszczenia. Nawet wśród konserwatystów byli przeciwnicy ustawy, jak szwagier cesarza ks. Ernst Günther, hr. Schulemburg, jak generalissimus hr. Haeseler, który wręcz oświadczył, że jako wojskowy nie uznaje walki z bezbronnymi, a za takich w walce z rządem uważa Polaków.

Mając tak poważne głosy przeciwko sobie, bronił się rząd pruski w parlamencie i prasie twierdzeniem, że znajduje się wobec żywiołu polskiego w stanie wojennym, a wojna dopuszcza użycia wszelkiej broni i usprawiedliwia środki wyjątkowe. Właśnie to tłomaczenie stwierdza zupełny brak poczucia etycznego, bo dzisiaj i wojna państw cywilizowanych nakłada pewne obowiązki na strony wojujące, a przedewszystkiem wszelkimi środkami ochrania i zabezpiecza własność prywatną.

Stroną etyczną ustawy zajmowali się żywo i Polacy w Księstwie, dokąd ustawa była projektem, i dokąd łudzono się, że oświetlenie jej ze stanowiska etyki może wpłynąć na jej losy. Dziś, kiedy ustawa stała się faktem dokonanym, sąd o jej stronie moralnej należy ze spokojem zostawić opinii świata cywilizowanego, która już zresztą sąd ten wypowiedziała, a zająć się ustawą samą i jej skutkami.

Jak dotąd — jeden jest widoczny rezultat ustawy: zajęcie się Polakami i sprawą polską w całym świecie. Dość wyraźnie zaznacza się już i rezultat dla państwa samego, które ma 4 miliardy marek długu, a blizko 1 miliard, a więc $^{1}/_{4}$ część owego długu, wydało na komisyę kolonizacyjną.

Aby zrozumieć cel i znaczenie ustawy, trzeba się cofnąć myślą aż do roku 1886 tj. do chwili powstania komisyi kolonizacyjnej. Dotacya komisyi wynosiła początkowo 100 milionów, bo wedle obliczeń Bismarcka, suma ta miała wystarczyć na zniszczenie imienia polskiego pod zaborem pruskim. Gdy się okazała niedostateczną, dodano dalsze 100 milionów, potem 250, obecnie ustawa przeznacza ... milionów marek.

Komisya kupuje większe majątki, nietylko z rąk polskich, ale i niemieckich, dzieli je na parcele i sprzedaje kolonistom niemieckim. Nabytej ziemi stara się nadać cechę niemiecką, więc stawia budynki typowo niemieckie, zmienia nazwę na odpowiednią niemiecką (tak np. Swiniary nazwała: Bismarcksfelde). Dla przynęcenia kolonistów stawia okazałe budynki, sale do zebrań, zabaw, szkoły, zbory ewangielickie, postawiła nawet jeden kościół katolicki, dla odparcia zarzutów centrum, że ma na celu protestantyzacyę.

Dotychczasowa działalność komisyi nie przynosiła jednak oczekiwanych wyników, bo Polacy nie sprzedawali jej ziemi.

W początkach, jednostki materyalnie zachwiane, a moralnie słabe, jakie w każdem społeczeństwie się znajdą, sprzedały komisyi swe majątki, ale na tem skończyło się. Sprzedawczyków napiętnowało całe społeczeństwo i komisya nie miała już co kupować. Dlatego przyznano jej obecnie prawo wywłaszczenia. — Rząd obiecuje sobie, że do istotnego wywłaszczenia rzadko przyjdzie, że w wielu wypadkach zawrze ugodę z ludźmi słabego charakteru, dla których wywłaszczenie będzie pokrywką wobec opinii społeczeństwa. — Rząd jednak przeliczy się co do tego. Zapadła uchwała, aby się nie godzić, ustępować tylko przed rzeczywistą przemocą, a wszelką ugodę piętnować tak samo, jak dobrowolną sprzedaż.

Przebieg postępowania jest taki:

Komisya uznaje, że ten lub ów majątek ma być wywłaszczony, i zawiadamia o swej uchwale tak właściciela, jak i władze administracyjne, do których dalsze postępowanie należy. Prezes rejencyi mianuje komisarza, który wraz z przybranymi rzeczoznawcami szacuje majątek i zawiadamia właściciela o wysokości oszacowania. Przeciw temu oszacowaniu może właściciel wnieść sprzeciw, jeżeli nie nastąpiła ugoda co do ceny, i wtenczas sprawa przychodzi przed wydział obwodowy wybrany przez sejm prowincyi. (W rejencyi poznańskiej i bydgoskiej jest w jego składzie jeden Polak). Wydział wydaje dekret, ustanawiający wysokość kwoty. Skoro komisya złoży tę kwotę do depozytu rejencyi, następuje weryfikacya stanu wsi, sprawdza się jeszcze raz jej wartość, rejencya ustala cenę, i z tą chwilą własność majątku przechodzi na komisyę. Właści-

Pogadanka polemiczna.

Pomiędzy listami, jakie otrzymała redakcya „Straży Polskiej", znajdują się dwa bardzo charakterystyczne ze względu na chwilę dzisiejszą, na ogólny prąd, jaki powstał w naszem społeczeństwie po gwałtach pruskich.

Oto wyjątek z pierwszego listu:

„Dowiedziałam się — pisze pani S. — o istnieniu „Straży Polskiej". Proszę o przysłanie mi numeru okazowego i statutu Towarzystwa.

„Nie mogę się zoryentować, czy „Straż", głosząca bojkot towarów pruskich, ma na celu usunięcie wogóle obcych towarów, które przemysł krajowy lub narodowy zastąpić może i powinien, czy też tendencyą „Straży" ma być niszczenie przemysłu pruskiego na mocy prawa odwetu. Rezultat w tym czy w owym wypadku może być identyczny — intencye z gruntu inne, różne. Jako walka sporna przybrałaby ze strony Polaków charakter postępowania analogiczny do tego, jaki jest do nas stosowany, a którego źródłem i początkiem: nienawiść. W szczegółach krzywdziłaby ludzi niewinnych nawet zupełnie, a oddanych pracy sumiennej".

Nie ulega wątpliwości, że te słowa wypływają ze szlachetnych, idealnych pobudek. Ale co jest szlachetne, idealne, nie zawsze jest rozsądne i rozumne. Szlachetnie jest przebaczać przestępcom i zbrodniarzom, istnieją jednak sądy, które ich karzą, — a gdyby tych sądów nie było, to wkrótce ilość przestępców i zbrodniarzy tak by wzrosła, że szlachetnych ludzi na świecie by nie stało — wytępionoby ich zupełnie. Szlachetnie jest nadstawić drugi policzek, ale gdyby tej zasady wszyscy się trzymali, to trudno byłoby znaleźć człowieka chodzącego z nienapuchłą twarzą. Wzniosła jest zasada: kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem, ale niechby się nią wszyscy szlachetni rządzili, to w krótkim czasie wszyscy zostaliby ukamienowani.

A nasz stosunek do Niemców, czy ściślej biorąc, do Prusaków, jest właśnie taki kamieniowo-chlebowy. Z ich strony leci na nas kamień za kamieniem, krwawi nas, rani, głowy nam rozbija, a my kupujemy towary pruskie, a więc chlebem na nich rzucamy. Nasz grosz przyczynia się do ich zamożności, do ich buty, wzmacnia ich siły, — ten grosz w formie podatku wpływa do kas państwowych, zasila fundusz kolonizacyjny i wywłaszczeniowy, ten grosz idzie i na dodatki dla urzędników niemieckich w Wielkopolsce, tym groszem nagradzani są nauczyciele znęcający się nad polskimi dziećmi, ten grosz znajduje się i w tych miliardach, co idą na armaty i bagnety, zapewniające Niemcom potęgę i panowanie.

Tak, łaskawa pani — my na kamienie wciąż odrzucamy chlebem, choć go sami nie mamy. Chlebem, który tuczy naszego wroga i dostarcza mu część środków na gnębienie naszych braci.

Bojkot, łaskawa pani, to nie odwet, nie nienawiść, ale samoobrona. Na odwet za słaby, z nienawiścią nic nie ma wspólnego. Nie potrzeba całkiem nienawiści, aby omijać tych, którym nie sprzyjamy, aby nie napychać im kieszeni groszem, naszą pracą zdobytym. Opierając się na tej zasadzie, co łaskawa pani, możnaby powiedzieć, że nienawidzimy Francuzów i Anglików, bo mało od nich towarów sprowadzamy. Czemu łaskawa pani jest za bojkotem towarów francuskich, czemu łaskawa pani nie chce dać zarobić Anglikom? — skąd taka do nich nienawiść? A skąd taka miłość do Prusaków, aby popierać ich handel i przemysł?

A zresztą dajmy pokój zbankrutowanym frazesom. „Nienawiść nic nie zbuduje", „małe parta idą do czarta" — powtarzamy wciąż do znudzenia, a życie pokazuje i historya uczy, że te „złote słowa" to liczmany. Na nienawiści, na mogiłach pomordowanych plemion słowiańskich zbudowano państwo pruskie, urosło ono następnie na grabieży ziem polskich, wreszcie na morzu krwi francuskiej wypłynęło cesarstwo niemieckie.

Czy może to zachęta do nienawiści? Broń Boże! Dość złego zrobiła na świecie, zbyt wiele pozostawiła ruin. Ale jest i nienawiść szlachetna: nienawiść wszystkiego co podłe i nikczemne, nienawiść zbrodni, grabieży, zdrady. Wolno mi kochać własnego wroga, bo to sprawa moja osobista, ale choćby wszystkie czułe serca potępić mnie miały, oświadczam, że nienawidzę wrogów mojej ojczyzny, nienawidzę ciemiężycieli i łupieżców tej ziemi, która mi matką, nienawidzę katów polskich dzieci, nienawidzę tych grabarzy, co wbijają gwoździe do trumny, w której leży w letargu moja ukochana... Całem sercem nienawidzę. — Ale niech łaskawa pani pominie ten wybuch i ten mimowolny, czysto przypadkowy traktat o nienawiści. Wtrąciłem go jedynie dlatego, że lubię otwartość a nie cierpię kłamanych uczuć, fałszywych czułości, chytrej obłudy. Zostawmy je dyplomatom.

A co do owej krzywdy ludzi niewinnych, to znaczy fabrykantów pruskich, szkoda doprawdy łez łaskawej pani, bo może ich zabraknąć dla krzywd prawdziwych. Może być, że gdybyśmy przeprowadzili bojkot jak się należy, gdybyśmy umieli samym sobie słowa dotrzymać (to się niestety, po nas, przynajmniej dziś, nie pokaże) to przemysł pruski ucierpiałby dosyć — nie tak jednak wiele, aby się miał z rozpaczy powiesić. Gdyby tylko nasz rynek istniał dla niego, to co innego. Ale ten przemysł ma zbyt na całym świecie — my sami go ani podtrzymamy, ni zniszczymy. W razie bojkotu rzeczystego byłby ten rezultat, że zarobek fabrykantów niemieckich zmniejszyłby się, biorąc ogółem, o jakąś jedną dwudziestą, to znaczy że pan Schulz za-

cielowi wolno mieszkać w majątku jeszcze przez trzy miesiące, poczem następuje przymusowe usunięcie, eksmisya.

Przeciw orzeczeniu rejencyi może zarówno właściciel jak i komisya wnieść skargę do sądu, który nie tykając samej kwestyi wywłaszczenia, ocenia tylko wysokość wynagrodzenia, i może je podwyższyć lub zniżyć. Dotychczasowa judykatura przy wywłaszczaniach ze względów użyteczności publicznej, pod budowę kanałów, kolei itp. była dla wywłaszczonych korzystna, i sądy sumiennie i bezstronnie oceniały wysokość odszkodowania.

Sąd przeprowadza także podział kwoty między wierzycieli i właściciela, według zasad prawa subhastacyjnego tj. hipotecznego. Właściciel dostaje do rąk tylko tę sumę, jaka pozostaje po zapłaceniu długów hipotecznych. Gdy kwota złożona do depozytu nie wystarcza na zapłacenie wszystkich długów, wierzyciele, dla których brakło pieniędzy, spadają z hipoteki.

Co podlega wywłaszczeniu? Prawie wszystko.

Wyłączone są, jakby dla ironii, cmentarze! Te pozostawia rząd Polakom w nadziei, że na nich i polskość pochowa, ale nadzieja to złudna — Wyłączone są dalej kościoły i grunta kościelne, co nie ma praktycznego znaczenia, bo są już znane wypadki rozkolonizowania ziemi w ten sposób między protestantów, że z ludności katolickiej pozostaje niemal sam tylko ksiądz i kościelny, tak że kościoła nie ma kto utrzymać! — Wyłączone są wreszcie fundacye dobroczynne już istniejące.

Wolno wywłaszczać także i Niemców. Domagał się tego sam rząd, raz ze względu na artykuł 4-ty konstytucyi, powtóre ze względu na traktaty handlowe, zapewniające państwom ościennym równe prawa z ludnością tubylczą, chcąc mieć swobodę wywłaszczania obcokrajowców, pod pozorem, że się ich traktuje równo ze swoimi obywatelami i że ustawa nie ma charakteru wyjątkowego. Dla uspokojenia Niemców dał jednak odpowiednie zapewnienia.

Ze względów technicznych i ekonomicznych wywłaszczona będzie przeważnie wielka własność, rzadziej mała i miejska, gdyż wywłaszczenie małych gruntów jest kosztowne i utrudnia założenie całej kolonii.

Wywłaszczony ma otrzymać pełne odszkodowanie, i w tem cała nadzieja nasza. Według dotychczasowej praktyki sądowej, pełne odszkodowanie mieści w sobie wartość majątku, zwrot utraconych korzyści i strat pośrednich, spowodowanych ustąpieniem z majątku. Postępy kolonizacyi utrudni już sama trudność szacowania. Trzeba tu uwzględnić i charakter monopolowy ziemi, której cena wzmaga się stale, bo zwiększa się popyt, zapotrzebowanie, a obszar zwiększyć się nie może: i rentę i cenę bieżącą targową; trzeba dokładnie wyspecyalizować pertynencye, torfy, żwiry itd. Do zwrotu utraconych korzyści należy zaliczyć postanowione i rozpoczęte melioracye, budowę młynów, tartaków, gorzelni; — do strat pośrednich: zerwanie kontraktów z dzierżawcami i oficyalistami, koszta przeniesienia się, pobytu w mieście, dopóki się czego innego nie kupi itd.

Jakież jest znaczenie i jakie mogą być skutki wywłaszczenia? Komisya kolonizacyjna wydała od r. 1886 do 1 stycznia 1907 450 milionów, obecnie uchwalono 275 milionów, razem więc $^{3}/_{4}$ miliarda. Zakupiono dotychczas 343.000 hektarów czyli 50 mil kwadratowych, co wobec obszaru Księstwa 2,900.000 ha stanowi $^{1}/_{9}$ część. 106.000 ha wykupiono z rąk polskich, resztę z niemieckich.

Obecnie rząd ma prawo wywłaszczyć 70.000 ha, a według obliczeń swoich potrzebuje rocznie 30.000. Zapotrzebowanie to, stosunkowo znaczne, tłómaczy się stosunkami w Rosyi, które wielu tamtejszych kolonistów niemieckich skłaniają do opuszczenia obecnych siedzib. Stosunki te uległy jednak obecnie zmianie.

Rząd liczy, że na te 30.000 ha 4.000 ha sprzedarzą Polacy dobrowolnie, 6.000 kupi od Niemców, zachwianych ekonomicznie, więc będzie musiał wywłaszczyć 20.000 ha rocznie, wobec czego uchwalony dziś obszar wystarczyłby mu zaledwie na 4 lata.

Są to cyfry zastraszające, tylko — na szczęście — jak się zdaje, mylne. Już co do owych 4.000 ha zaszła pomyłka, bo dotąd kupiła Komisya od Polaków tylko 1.000 ha.

Zachodzą i tutaj poważne imponderabilia.

Zaprowadzenie Komisyi kolonizacyjnej w r. 1886 wywołało poważne obawy. Jak już dwa razy wspomniano, wydała komisya dotąd 450 milionów, wykupiła 106.000 ha ziemi z rąk polskich, i oto własność polska zwiększyła się w tym czasie o 63.000 ha. Stał się cud ekonomiczny, a cudu tego dokonał chłop i robotnik polski, imponderabile, z którem się Bismark nie liczył. W roku 1886 uchwalono na kolonizacyę 100 milionów marek, bo żelazny kanclerz twierdził, że za tę sumę wykupi się większych właścicieli i wyśle do Monaco, a z ich upadkiem zginie i polskość.

Pomylił się potrójnie. Przedewszystkiem nie wykupił wszystkich i nie wykupi; powtóre, niewielu chyba z nich pojechało do Monaco, przeważna większość osiedliła się znowu na ziemi, i już się z niej nie ruszy, chyba pod przymusem; wreszcie nie wiedział, że prócz Polaka szlachcica istnieje Polak chłop, Polak robotnik, Polak mieszczanin, że ten „mały człowiek“ dokona wielkiego cudu ekonomicznego.

Wielka własność istotnie ginie.

W r. 1848 wynosiła 948.000 ha,
„ 1880 „ 717.000 „
„ 1900 już tylko 580.000 „ a więc prawie połowę. Ale nie ginie **polska własność**, bo **mała własność** rośnie... i wykazuje przyrost 170.000 ha. Kiedyś była ona w upadku. Pomiędzy rokiem 1850 a 1870 ginie 8.396 zagród włościańskich, to znaczy 17%. Wykupują je latifundya. Ale po wojnie zaczyna się osadnictwo „małych ludzi“.

Składają się na to 2 czynniki: uprzemysłowienie Niemiec i wyrobienie polityczne i ekonomiczne polskiego chłopa. Przed wojną francuską $^{2}/_{3}$ ludności Niemiec stanowiła ludność rolnicza. Obecnie stosunek się zmienił, bo dzisiaj 66%, a więc $^{2}/_{3}$ ludności stoją poza zawodem rolniczym. Wyszło to na korzyść chłopa i robotnika polskiego.

Przedewszystkiem rolę, opuszczoną przez Niemca, zajął chłop polski, bardziej do ziemi przywiązany; powtóre, rozwinięty olbrzymio przemysł zapotrzebował i robotnika polskiego, który po to tylko stanął w kopalniach i przy maszynach, aby zarobić, złożyć oszczędności i kupić za nie własny zagon, ideał, marzenie, cel życia polskiego chłopa. Chłop ten idzie na zarobek, a za zaoszczędzony grosz kupuje kawałek ziemi, choćby zadłużony. Idzie powtórnie, przywozi trochę pieniędzy, żeni się, stawia budynki. Żonę osadza na gospodarstwie, a sam idzie po raz trzeci do Westfalii, aby zapracowanemi pieniądzmi pospłacać długi i jeszcze mieć coś gotówki na zapas. Parcelacya jest w pełnym toku, a wspierają ją dzielnie nasze instytucye finansowe, znakomicie urządzone i prowadzone.

Przychodzi nowy cios, prawo z r. 1904 o osadnictwie, zakaz budowania. Ale i ten cios rozbija się o wytrwałość polskiego chłopa. Nie wolno mu postawić domu, to mieszka w lochu, pod gałęziami drzew, we wozie, sam Pan Bóg wie, jak i gdzie, ale z ziemi nie ustępuje, kupuje nową, i tak rzecz idzie dalej. Żywioł polski wzrasta liczebnie. Od roku 1900 do 1905 liczba Polaków, przypadających na 1000 mieszkańców, wzrosła z 95.90 na 97.78.

---

miast pół miliona marek czystego zysku miałby tylko 475 tysięcy, pan Müller zamiast stu tysięcy tylko 95 tysięcy, pan Mayer zamiast pięćdziesięciu tylko 47$^{1}/_{2}$ tysiąca. Niech mi pani wierzy, że i z tem żyć można, że i to nieszczęście przetrzymać łatwo.

Ale (tu łaskawa pani „łapie“ mnie z rozkoszą) jeżeli taki drobny byłby rezultat zupełnego bojkotu, to czy warto się nim zajmować? Warto, łaskawa pani, bo tu nie idzie o Müllera, Schulza i Mayera, lecz o rachunek ogólny. Nie mam niestety pod ręką obliczenia, ile do ziem polskich przychodzi rocznie towaru pruskiego (obliczenie to wreszcie jest niemożliwe, bo nie stanowiąc państwa, nie mamy ceł polskich, ale austryackie i rosyjskie, a do Wielkopolski towar pruski bez cła przychodzi) ale przypuszczam, że rocznie dajemy utargować Prusakom może 300, może 200, a choćby tylko 150 milionów. Czy łaskawa pani sądzi, że to bagatela, że to nie wzmaga zamożności Niemców, że to nie podnosi siły podatkowej państwa niemieckiego?“

Ale (znów mnie pani „łapie“) sam pan nie wierzysz w bojkot zupełny. Tak jest, ale dobry i częściowy. Niechby się Prusakom urwało choćby 30, choćby 20 milionów rocznie — i to coś warte.

A nie zapominajmy, że to w każdym razie poparcie własnego przemysłu, boć przy bojkocie towarów pruskich niejeden wyrób krajowy znajdzie więcej odbiorców, choćby dlatego, że przy sposobności więcej się o nim mówi i pisze, więcej się go reklamuje.

Zresztą idzie o zrobienie początku. Nie wierzę wprawdzie, abyśmy dziś przeprowadzili bojkot na wielką skalę — ale kto wie, czy go nie przeprowadzimy jutro. Równie jak zły tak i dobry przykład jest zaraźliwy. Niech do szeregów bojkotowych stanie kilka tysięcy ochotników, a z czasem znajdzie się ich kilkanaście, kilkadziesiąt, kilkaset tysięcy.

Drugi list odebrała redakcya „Straży Polskiej“ już nie od „dobrej duszy“ płaczącej nad krzywdą „ludzi niewinnych“, lecz od jakiegoś pana, który uważa się za ducha wybranego, bo za człowieka umiejącego wznieść się na szczyty bezstronności, za głębokiego myśliciela, który się nie da za nos wodzić „niedowarzonej opinii“, ale umie odróżnić zło od dobrego i oddać hołd choćby nieprzyjacielowi! Ten pan „Bezstronny i sprawiedliwy“ (tak się podpisał pod bardzo długim i w tonie mentorskim utrzymanym listem) gorszy się „nagonką na Niemców“, wykazuje ich zasługi dla kultury, wylicza nazwiska wielkich poetów, artystów i uczonych niemieckich, każe odróżnić rząd od narodu niemieckiego itd. itd. — a to wszystko w tym celu, aby „Straż Polska“, której raczy przyznawać dobrą wolę a nawet „szczytne zamiary“, nie dała się prowadzić „na pasku szowinistów“, nie ulegała „krzykactwu“, lecz broniąc słusznej sprawy „oddała co się należy nawet wrogowi i za winę rządu, bakatyzmem toczonego, nie potępiała społeczeństwa, mającego liczne przymioty i stojącego wysoko pod względem umysłowym i etycznym“ (!) Pan Bezstronny i Sprawiedliwy wprost nawet uderza na... niżej podpisanego. Na dowód, do czego dochodzi „szowinizm“ przytacza wyjątek ze „Słownika prawdy i zdrowego rozsądku“ (niestety, ja jestem jego autorem), który charakteryzuje Niemców jako „ssaków o budowie niezgrabnej, tępych umysłowo, bo rozumiejących tylko własne wycie“ (chyba aż nadto zrozumiała aluzya do stosunków w Wielkopolsce) a o niemkach może tyle tylko powiedzieć, że mają „duże stopy“!

List pana „Bezstronnego i sprawiedliwego“ możnaby pominąć milczeniem, gdyby nie był on echem „bezstronności i sprawiedliwości“ głoszonej drukiem przez niektórych nawet wybitnych pisarzy. Oto świeżo w kronice Bolesława Prusa (Tygodnik Illustrowany, nr. 24) czytamy takie uwagi:

„Że Niemcy gęsto zasiedleni, oświeceni i dzielni wlewają się do społeczeństw mniej gęstych, mniej dzielnych i mniej oświeconych, to jest ich prawo, a nawet obowiązek. Przyszłość bowiem nie należy do niedołęgów, lecz do odmian doskonalszych gatunku ludzkiego, a ziemia prędzej czy później musi się stać własnością nie próżniaków i niedbalców, ale tych, którzy najlepiej ją uprawiają, którzy wkładają w nią największą ilość pracy fizycznej i duchowej.

„Dzięki prawu natury, że w walce kulturalnej zwyciężają najlepsi. Niemcy rozleli się po całej kuli ziemskiej i wszędzie ich działalność dźwignęła miejscowe cywilizacye, a ich charaktery podwyższyły poziom ludzkich zalet. Na nieszczęście tryumfy pokojowe nie wszystkim Niemcom wystarczają. Niemała ich liczba woli uciekać się do gwałtów, zorganizowanych morderstw, łgarstw, prowokacyi i najpodlejszych intryg, co razem wzięte nazywa się — wielką i silną polityką.“

Następnie Prus twierdzi, że gdyby nawet wszyscy Słowianie skupili się w jedno państwo i utworzyli wspólną armię, to „jeszcze Niemcy tak wytatarowaliby nam skórę, że siedzieć byśmy nie mogli! A gdyby nawet — pisze dalej — udało się nam nieprawdopodobne zwycięstwo, Niemcy ani na chwilę i to przez długie lata, nie przestaliby wlewać się do ziem słowiańskich, a my Słowianie, ani na chwilę nie przestalibyśmy uczyć się od nich rolnictwa, przemysłu, handlu, sztuki i mnóstwa nauk teoretycznych, nie licząc porządku, wytrwałości, punktualności, samodzielności, energii i tym podobnych zalet“.

Otóż gdyby nie tego rodzaju „drukowane „słowa“, nie byłoby potrzeba odpowiadać na list pana Bezstronnego i Sprawiedliwego. Prusowi nie odpowiadam, bo nie zwracał się do „Straży Polskiej“

Komisya kolonizacyjna natrafia jednak i na inne trudności. Obecnie i większa własność już dobrowolnie ziemi nie sprzedaje. Co było słabsze ekonomicznie lub moralnie, odpadło w pierwszych latach, i od r. 1897 podaż maleje stale, przeciętnie o 2.000 ha rocznie. Wpływają na to względy moralne, stanowisko zajęte wobec sprzedających przez społeczeństwo, ale niemniej i przyczyny materyalne, a przedewszystkiem niesłychane podniesienie się renty z ziemi, które paraliżuje i ustawę o wywłaszczeniu.

Jak wyżej wspomniano, rząd musi dać wywłaszczonemu pełne odszkodowanie, które wypadnie bardzo wysoko, gdyż cena ziemi ciągle wzrasta. Sama komisya kolonizacyjna płaciła w r. 1886 568 m., w r. 1901 801 m., w r. 1906 1383 m., w r. 1907 1508 m. za hektar. Twierdzą niektórzy, że ten wzrost ceny spowodowała właśnie sama komisya przez zwiększony popyt. Twierdzenie to jest mylne. Zygmunt Chłapowski wykazał w swej wyczerpującej pracy, że hektar ziemi w Wielkopolsce, przy normalnem dobrem gospodarstwie, przynosi 90 marek, wobec czego wart jest 2.250 marek. Nawet domeny królewskie wykazały w ciągu ostatnich 3 lat ogromną zwyżkę dochodów.

Przy takiej wartości ziemi i przy tendencyi do dalszej zwyżki, odszkodowania, jeśli mają być „pełne", muszą być bardzo wysokie, a wtenczas zwiększy się i popyt na ziemię, co spowoduje dalszą zwyżkę. Gdyby odszkodowania były nizkie, wywołałyby obawę kupna ziemi, to obniżyłoby jej cenę, a wtenczas komisya znowu poniosłaby straty, zyskaliby natomiast ci, których przedtem wywłaszczono, bo mieliby wysoką cenę za swą dawną własność, a nową kupowaliby po cenach niższych, a to zazwyczaj od Niemca, bo Polak w Wielkopolsce rzadko się dzisiaj pozbywa ziemi.

Zmieniłby się więc tylko warsztat pracy, ale własność polska nie tylko nie zmniejszyłaby się, ale owszem zwiększyła.

Pozostałaby zawsze strata moralna, przymusowe usunięcie z ziemi, która nieraz od wieków pozostawała w rodzinie, i przejście jej, jeśli nie na zawsze, to na bardzo długo w ręce obce.

Szkodliwie wpłynie wywłaszczenie na ludność roboczą pod względem narodowym. Po przejściu ziemi w ręce komisyi robotnik polski straci pracę na niej. Znajdzie ją wprawdzie gdzieindziej, ale nie u tych wywłaszczonych, co kupią ziemię gdzieindziej, bo oni tam już i robotnika zastaną. Trzeba się starać, aby jej nie musiał szukać na zachodzie, gdzie mu grozi wynarodowienie, trzeba u siebie, na wschodzie stworzyć warunki pracy przez intenzywne gospodarstwo, przez rozwój przemysłu, o czem się już myśli w poznańskiem.

Stratę poniosą oficyaliści wiejscy, bo ci najczęściej będą pozbawieni pracy przez rozparcelowanie większych majątków i będą musieli szukać innego rodzaju zajęcia.

Szkodliwie wpłynie także wywłaszczenie na miasta. Rząd nie kryje się z tem, minister powiedział to w komisyi wyraźnie, że chce otoczyć miasteczka pierścieniem niemieckich kolonii, aby podciąć dobrobyt kupców, rzemieślników, adwokatów, lekarzy, zależnych od wiejskiej klienteli. Statystyka miast, otoczonych nabytkami komisyi, jak np. Janowiec, wykazuje już dzisiaj wzrost ludności niemieckiej na koszt polskiej, co świeżo dało się odczuć przy wyborach do sejmu w okręgu gnieźnieńskim. Trzeba i temu zapobiegać, głównie przez szerzenie i wprowadzanie w czyn hasła: „Swój do swego", bo cyfry statystyczne są smutne.

O szkodliwym wpływie wywłaszczenia dla Kościoła katolickiego była już wyżej mowa.

Takie mniej więcej mogą być skutki ustawy, które Wielkopolanie przewidzieli i przedyskutowali, zanim ustawa została uchwalona i zyskała sankcyę. Musiała więc wywrzeć silne wrażenie, ale nie był to popłoch, nie strach, tylko u gorętszych rozgoryczenie, które trzeba było hamować, bo rząd pragnie wybuchów, aby mógł iść dalej, — u rozważniejszych skupienie, pogłębienie i poczucie obmyślenia obrony. Cóż pod tym względem zrobiono?

W kwietniu odbył się wiec w Poznaniu, na którym postanowiono, że nie wolno zawierać ugody, ustępować tylko pod przymusem, dążyć do uzyskania jak najwyższych odszkodowań, nie wolno opuszczać kraju, ale za uzyskane pieniądze należy tam nabywać ziemię, ile możności z rąk niemieckich, gotówkę należy umieszczać w bankach polskich.

Ale wiece i uchwały to mało. Trzeba pozytywnej pracy, trzeba zagrożonym przychodzić z pomocą. Wielka własność da sobie radę, gdyż ma zastęp ludzi doświadczonych, prawników i ekonomistów, sama nie ulegnie i obejmie przewodnictwo w walce.

Trzeba pomyśleć o ludziach, o oficyalistach, o mieszkańcach miast, którzy podlegną skutkom wywłaszczenia, a nie dostaną odszkodowania. Trzeba dla nich stworzyć nowe źródła dochodu, nowe pola pracy otworzyć. W tym celu powstaje Towarzystwo uprzemysłowienia kraju. Sprawa to bardzo trudna, z wielu różnorodnych przyczyn. Przedewszystkiem trzebaby przemysłowi dostarczyć węgla na miejscu. Rozpoczęto już prace, aby go uzyskać i są widoki, że skrzętne poszukiwania w ziemi przyniosą pomyślny wynik.

Kilka nieudanych prób osłabiło zaufanie do pracy na polu przemysłu, ale ostatnie lata wykazały, że wielkopolskie zakłady przemysłowe rozwijają się prawidłowo. Przekonanie o tem społeczeństwa, dodanie otuchy i wiary we własne siły, to drugi cel organizacyi. Osiągnąć go nie będzie trudno, bo społeczeństwo wielkopolskie, zahartowane w walce a oparte na sile żywotnej narodu, patrzy w przyszłość z otuchą i wiarą.

„Zapewniam was", — zakończył mowca — że możecie być o nas spokojni. „Straż nad Wartą" czuwa, myśli poważnie o środkach obrony, i znajdzie je".

Taka była treść wykładu, o ile zdołałem ja zanotować i uzupełnić szczegółami, udzielonymi mi łaskawie przez dra Dziembowskiego. Słuchacze doznali bardzo dodatniego wrażenia. Ten sam spokój, który przebija z treści, brzmiał w głosie, widniał w wyrazie twarzy, w całem zachowaniu się mowcy. Nie było tam ani roztkliwienia przy omawianiu szkodliwych następstw ustawy, ani buńczuczności w zapewnieniu, że i ten cios przetrwamy; była godność, męskość, która w słuchaczów wlała otuchę, że tą samą tężyzną odznacza się cała Wielkopolska, zahartowana w walce o najświętsze prawa. Znać było, że u nich „...nie brzmi już na strunach żal", i nie ma już powodzenia nasze „jakoś to będzie". Znać, że tam biorą się do czynów, że nie kierują się samem uczuciem, ale wszystko przemyślają i obliczają, że są świadomi i celów i środków, że znają wroga, a skoro mówią, że znajdą środki obrony, to można im wierzyć.

Tem przykrzej odbijała nasza obojętność na sprawy narodowe. Odczyt zgromadził bardzo mało słuchaczów. I nic dziwnego. Równocześnie odbywały się wyścigi, przy których chodzi przecież o podniesienie krajowego chowu koni; za godzinę miał wyruszyć lajkonik, więc trzeba było wcześniej zająć miejsca w kawiarniach, obok których przechodzi, bo to przecież takie nasze, narodowe, tradycyjne; a my tak ukochaliśmy przeszłość! wreszcie i z groszem musimy się liczyć; wstęp kosztował 2 K, na dalsze miejsca koronę, to dołożywszy drugie tyle można już mieć jakie takie miejsce na operetkę. Sprawa wywłaszczenia taka bolesna, a ży-

---

odpowiadam jego „echu", bo ono do „Straży Polskiej" wystąpiło ze swemi uwagami i naukami.

Przedewszystkiem muszę odparować cios w mój „Słownik" wymierzony. Pan Bezstronny i Sprawiedliwy nie rozumie poprostu, że satyra nie jest od chwalenia, że „Słownik prawdy" to nie zbiór poważnych rozpraw, ale krótkie mniej lub więcej złośliwe czy dowcipne uwagi, których ton i treść zależy od chwili i okoliczności. Forma „Słownika", sposób w jaki go pisałem, pozwalał mi na taką, a nie inną charakterystykę Niemców, choćby oni stokroć byli lepsi, niż są rzeczywiście. A nawet gdyby byli stokroć lepsi, nikt średnio rozsądny nie podejrzywałby mnie, że każdemu z tych „ssaków" przypisuję tępość umysłową, że każdą niemkę posądzam o duże stopy. Nie, studnio bezstronności, nikt rozsądny nie uwierzy, abym mógł mieć podobne zapatrywania, abym lekceważył zdolności umysłowe narodu, który wydał Goethych, Schillerów, Herderów, Lessingów, Humboldtów, Kantów, Helmholtzów, Beethowenów, Mozartów, Holbeinów, Kaulbachów itd. — a jeżeli chcesz, to przyznam, że widziałem i przystojnych Niemców i że istnieją nawet, choć rzadko, niemkinie o małych stopach. Powiem ci więcej — sam znałem uczciwych Niemców, sam z szacunkiem ściskałem niegdyś dłoń Roeplla i posyłałem z innymi telegramy dziękczynne do Windhorsta.

Ale jeżeli satyrykowi czy humoryście wolno przesadzać, bo przesada jest jego przywilejem i zresztą każdy rozsądny człowiek pozna się na niej łatwo, to mężom bezstronnym i sprawiedliwym, pisarzom występującym w roli poważnych statystów, nie wolno pisać panegiryków. A panegirykiem jest tak to co napisał Prus, jak i to co pisze szanowny mój nieprzyjaciel. Przyznają oni Niemcom wszystkie zalety, a nie wspominają o wszystkich ich wadach. Prawda, że Prus wie o „niemałej liczbie Niemców" uciekających się do gwałtów, morderstw, łgarstw i najpodlejszych intryg, ale obciąża tem tylko tych, co się zajmują tak zwaną „wielką i silną polityką". Więc tylko wielcy politycy niemieccy (właściwie trzeba mówić: prusscy, bo o nich tu idzie) są naszymi wrogami? Wprawdzie jest ich „liczba niemała", może 1.000, może 10.000, może i 100.000, — ale reszta to ludzie z „charakterem, podwyższającym poziom ludzkich zalet". Co innego rząd i jego poplecznicy, a co innego naród niemiecki.

Przyznaję, było tak niegdyś, nawet jeszcze po r. 1848, ale dziś po tej różnicy zostało tylko wspomnienie. Bismark zrobił swoje, znieprawił ducha niemieckiego, w narodzie filozofów i poetów zaszczepił dzikie instynkta, na miejscu zburzonej świątyni prawa wzniósł kolumnę kultowi siły. Zapewne, że błąkają się jeszcze dawne, piękne echa wśród niedobitków wielkich idei, podnosi głowę nawet stronnictwo, przeciwne istniejącemu porządkowi rzeczy, ale inteligencya niemiecka, to czoło narodu, pozbyła się zupełnie mrzonek idealnych. Na jakim globie przebywasz, o mężu metasprawiedliwy, jeżeli nie wiesz, że hakatyzm, to nie rząd niemiecki, jeżeli nie wiesz, że już nie w Prusach, ale w Austryi ogarnął Niemców szał nienawiści, żądza tępienia i niszczenia. Wszak wielki uczony, chluba narodu, Momsen, to nie rząd niemiecki, a kazał rozbijać czaszki słowiańskie. Następca Herderów, Kantów, filozof Hartman, to nie ów rząd, a wzdychał do powrotu krzyżackich czynów i ideałów, uważając tępienie innych szczepów (ausrotten) za środek konieczny i sprawiedliwy. A Waltmann, uczony antropolog „polityczny", czyż nie uznaje za pewnik, że Chrystus właściwie był germaninem, czy nie zabiera dla niemców Dantego i Cezara o czaszce „czysto germańskiej", ażeby udowodnić, że cały świat powinien uledz rasie germańskiej i ażeby wezwać do ochrony czystości tej rasy za pomocą „wszelkich środków". Chyba młodzież, to także nie rząd niemiecki, owszem młodzież, to wrodzona opozycya, a kto, jak nie młodzież rzuciła hasło wypędzenia z uniwersytetów uczniów słowiańskich. A centrum katolickie, a niemiecki kler katolicki, czy się nie wyrzekli przed kilku laty obrony tych, za których przedtem jeszcze walczyli. Dziś znowu zbliżyli się do nas, bo idzie im o własną skórę, bo rząd niemiecki kopnął ich przed rokiem przy wyborach do parlamentu, bo poczuli się na Śląsku zwyciężeni. Ale to im nie przeszkadza prowadzić polityki antypolskiej nad Renem, to im nie przeszkadza nie dopuszczać w Berlinie polskich nabożeństw kazań i śpiewów kościelnych. Świeżo, po raz pierwszy zabronili w kościele berlińskim urządzić polskiej procesyi Bożego Ciała.

A zresztą, mężu bezstronny i sprawiedliwy, czy nie otworzyłyby ci oczu ostatnie gwałty pruskie? Wszak te gwałty uchwalili wybrańcy narodu, wszak nawet wolnomyślni, głoszący wolność we wszystkiem i dla wszystkich, sprzedali rządowi swe głosy za cenę nawet niebardzo wysoką. A jaka reprezentacya narodu, taki i naród.

Czy nie widzisz, oceanie bezstronności, że hakatyzm przeszedł już dawno granice Prus i państwa niemieckiego. Czy nie widzisz co Niemcy wyprawiają w Cieszynie, jak się organizują w Galicyi? A przeczytaj sobie w dzisiejszym numerze „Straży" jak hakatyści podnoszą głowę w Warszawie. Przeczytaj sobie także w dziennikach, jak świeżo p. Lueger wzywał „poetów" niemieckich do germanizowania Czechów, przeczytaj, co za awantury wyprawiają panowie wiedeńscy ministrowi oświaty za to, że w szkole czeskiej egzaminowała komisya złożona z czeskich nauczycieli. Wszak to nie Prusacy, nie Niemcy czescy nawet, ale poczciwi, „że ich do rany przyłożyć", wiedeńczycy.

Widocznie musiałeś spać długie lata, mężu bez

cie i nam tu nie szczędzi przykrości... a „Wesoła wdówka“... taka wesoła!!!

Dr Kazimierz Jordan Rozwadowski.

Grunwald — Hołd pruski — Dzisiaj.

Kiedy teraźniejszy następca polskich hołdowników rzucił w lipcu roku 1903 z maryenburskiego zamku obelgę polskiemu Narodowi, wówczas z iście żywiołową siłą i ze szlachetną okazałością przypominało nasze społeczeństwo chytremu zaborcy pewne lipcowe rocznice... 10. lipca, dzień hołdu pruskiego, a zwłaszcza 15., dzień grunwaldzkiego zwycięstwa, podniosły się odtąd jakby do rzędu świat narodowych. Szereg wspaniałych obchodów, szereg sposobności do podsycania w sobie patryotycznego znicza, niewątpliwe oświecenie i rozgrzanie przez to naszych uczuć dla Ojczyzny, przeważyło tamtę pyszałkowatą zniewagę. Głośny mówca przegrał tu z nami bitwę na słowa.

Lecz drobne to tryumfy, albo pamięć dawnych. A stan obecny podobny do męczarni, a równie okrutny, jak osobliwy. Wszakże my sami, chociaż pełni cierpienia, zdumieni jesteśmy niespodziewaną, nadludzką pomysłowością pruską. Kolonizacya, wywłaszczenie i zakaz ojczystej mowy na tle konstytucyi — to przecież środki nowe i demonicznie wielkie! Na szczęście duch polski, krzepiony dziejami i rosnącą kulturą, jest na tyle silny, że najboleśniejsze ciosy ciemięzców są dlań pobudką, nie dobiciem. Istotnie rodzima polskość wydobywa się w naszych oczach z pod wielowiekowej powłoki niemieckiej na Śląsku, oświata szerzy się w sposób, radość budzący, ostatnie zaś wybory do Sejmu pruskiego cyfrowo stwierdziły powiększenie się żywiołu polskiego w ostatnich krwawych i opłakanych latach.

Na malborską demonstracyę odpowiadamy uroczystościami, na nową wojnę odważnym, pancernym odporem. Jest to dalszy ciąg, do epoki zastosowany, grunwaldzkiego dzieła. Błyszczące bowiem chwile dziejowe, dzień tryumfu nad krzyżactwem i dzień uklęknięcia Alberta przed królewsko tronującym Zygmuntem, chwile chlubne i krzepkości dodające Narodowi na długotrwałe okresy historyczne — nie były tak twórcze i doskonałe, aby moc naszą założyć i utwierdzić. Te piękne przodków dzieła uszanowawszy z wdzięcznością, trzeba przecież najkonieczniej uzupełnić.

Bezkrytyczne uwielbienie choćby dla rzeczy tak wspaniałych w Narodzie, jak Grunwald i hołd pruski, byłoby jednak ciemnem bałwochwalstwem narodowem, a przez znieczulenie na braki i wady owych czynów zagrodziłoby drogę narodowego postępu. Wszakże nie za to wychwalamy zwycięzców grunwaldzkich, że po walnej bitwie rozbiegli się niecierpliwie i bezmyślnie, a zżętego zboża nie zawieźli do gumna Ojczyzny! Przez brak wytrwałości u rycerstwa i bratnią zazdrość Witolda owocem tak wielkiego bohaterstwa była ledwie ziemia Dobrzyńska, Zawkrzeńska i jednorazowa danina — wszystko inne w ciągu paru miesięcy odzyskał słaby, lecz konsekwentny Zakon. Świetny znów akt hołdu pruskiego, znieprawiony był prywatą Zygmunta, który ze względów rodzinnych dopuścił marniejący Zakon do świeckiej potęgi, dobru Polski szkodliwej, a zarazem dla tegoż nepotyzmu poświęcił przekonania religijne, pozwalając Zakonowi przyjąć dla widoków ziemskiego powodzenia protestantyzm. Tak więc mało skuteczne i niedokończone zostały przedsięwzięcia naszych duchowych spadkodawców.

Przydajmy więc do tej spuścizny nieugiętej wytrwałości. Prusy umieją straszliwie być wytrwałe w przewrotności, toż łatwiej, bo sumienniej, nam trwać w obronie praw narodowych. Pozbądźmy się bratniej zazdrości, a współzawodnictwo niech się objawia tylko w czynieniu jak najwięcej dobrego; tak to rzetelniej i wiekopomniej będziemy wyniesieni nad tych, ku którym zrywa się w nas zawiść. Duchowi publicznemu pozwólmyż raz wstąpić w siebie! Publicznie przecież jesteśmy jak martwi! Bez ducha publicznego zaś i wielekroć od Polski potężniejsza starożytna „Roma“ uległa haniebnemu rozkładowi, jako rzecz bez życia! Sumienia, podwaliny naszego życia duchowego, nie dajmy zachwiać postronnym wpływom. A w ten sposób dodawszy do drogocennych narodowych tradycyi uczciwą, nową pracę, i ofiarą własną pomnożywszy wartość narodowego dobra, z pewniejszą otuchą oczekiwać będziemy „Grunwaldów“ i „hołdów pruskich“ przyszłości.

Dr. Kazimierz Lubecki.

Prosektoryum amatorów

Od pewnego czasu weszło u nas w zwyczaj publiczne obnażanie najwstrętniejszych ran społecznych. Wyrazy, które przedtem po cichu wymawiano, dziś publikują się afiszami na wszystkich rogach ulic. Na wiecach, urządzanych przez narwane jednostki lub doktrynerki „uświadamiania“, opowiada się młodzieży wszelkie tajemnice życia płciowego i wszelkie objawy zwyrodnień i chorób płciowych. Prostytucyę omawia się jawnie i szczegółowo wobec młodych słuchaczy i słuchaczek bez wszelkiego krępowania się jakimikolwiek względami. A czyni się to wszystko w imię.. postępu.

Obowiązkiem „Straży Polskiej“ było zwrócić uwagę na ten objaw chorobliwy i wysoce niebezpieczny — to też mieliśmy zamiar, choćby nas posądzono o „wsteczność“, położyć *veto* przeciw tej szkodliwej zabawie niedowarzonych umysłów. Zanim jednak zamiar nasz doszedł do skutku, zabrał głos w tej sprawie znakomity pisarz postępowego obozu, Aleksander Świętochowski. Skwapliwie chwytamy sposobność wyręczenia się jego słowami i poglądami, — raz dlatego, że w zupełności podzielamy jego zapatrywania, a powtóre dlatego, że „Posła prawdy“ nikt chyba o wstecznictwo posądzić nie może.

Należy jeszcze dodać, że chorobliwy ten objaw wystąpił w Warszawie z dziesięć razy większą siłą, niż u nas. Były to poprostu orgie, w których brały udział nietylko „siły miejscowe“, ale na które do „ról gościnnych“ zapraszano z Galicji. Tak rozumiano mniemaną „swobodę słowa“, na co też Świętochowski kładzie nacisk w swoim artykule.

Redakcya.

Z rozszerzonych granic swobody wszyscy skorzystali, jak umieli, jak chcieli i jak im wskazywał interes. Niewątpliwie, otwartemi jej ujściami popłynęło wiele usiłowań poważnych, zdrowych, twórczych i płodnych, ale też rzuciło się bardzo dużo mętów i skanalizowanych wolnością wydzielin chorobliwych. Nie byłoby w tem nic nienaturalnego i groźnego, gdyby stosunek tych pierwiastków nie wykazywał zbyt wysokiego procentu ostatnich. Wiemy, jak się rozpostarł po naszem życiu bandytyzm pod najrozmaitszemi formami, przybierającemi nieraz postać ideową — „anarchistycznego komunizmu“; wiemy, jak się rozhulała napastniczość potwarcza i terror zbrodniczy; na jeden wszakże objaw mało zwrócono uwagi — na wybuch seksualizmu.

Schiller powiada, że światem rządzą głód i miłość. Tylko więc ślepota, nie umiejąca dostrzedz rzeczywistości, lub obłuda, pragnąca zataić pewne jej strony, może lekceważyć olbrzymią potęgę, która działa w popędach płciowych i tylko lekkomyślność może zakrywać jej zboczenia i zwyrodnienia przeźroczystemi zasłonami. Zwłaszcza zaś prostytucya

---

stronny, a przebudziwszy się sądzisz, że dzisiejsi Niemcy, to twoi Niemcy dawnych czasów. A może powiesz, że i dziś odzywają się głosy szlachetniejsze — ale naprzód jakże ich mało, a następnie przypatrz się bliżej tej szlachetności. Występują one przeciw hakatyzmowi, bo to „zły system“ przeciw „niższym rasom“, bo sądzą, że łagodnością, ścisłem trzymaniem się prawa, Niemcy prędzej dojdą do upragnionego celu. Hakatyści chcą nas pożreć odrazu, gwałtownie i łamią sobie zęby, — antyhakatyści pragną nas pożreć powoli, ale pewnie, w słodkiej potrawce, nie narażając swych dziąseł nawet na lekkie zadraśnięcie.

Nie twój list, powtarzam, heczko sprawiedliwości, zmusił mnie do tak długiej odpowiedzi. Skorzystałem z niego tylko, aby poruszyć sprawę bałamucenia opinii przez „poważne“ głosy, wprowadzające niewłaściwą, szkodliwą czułostkowość do oceny dzisiejszych Niemców. Polityka to nie romans i życie, niestety, to także nie romans. Komu zrywają dach nad głową, temu nie wybiegać do złoczyńców ze słowem miłości: podpalacza bij, złodzieja ..., ale nie praw mi w tej właśnie chwili, gdy ... lub podpala, o jego cnotach utajonych, lub o tem, że jego babka była uczciwą niewiastą. Kiedy go odegnasz, wówczas dopiero możesz rozczulać się nad jego cnotami i babce jego stawiać w swem sercu pomniki. Na wszystko jest pora.

Kto nie widzi dzisiejszej zaciekłości germańskiej, kto nie pozbył się złudzeń co do szlachetności dzisiejszego ducha niemieckiego, ten albo nie zna stanu rzeczy i nie umie zdobyć się na jasny, trzeźwy pogląd o stosunkach, albo też jest doktrynerem. A głosy ludzi nie patrzących trzeźwo nie mają wagi w radzie o dobru pospolitem.

* * *

Miałem nie odpowiadać Prusowi, a jednak powstrzymać się trudno.

Nie będę polemizował z twierdzeniem, że Niemcy są „najlepsi“, że stanowią „doskonalszą odmianę gatunku ludzkiego“, że mają prawo i obowiązek wlewać się wszędzie i t. d. i t. d., bo nie sądzę, aby kto te zapatrywania Prusa podzielał. Naturalnie podzielają je Niemcy, lecz i to wątpię czy wszyscy.

Ale Prus podaje jako fakt, że „wszędzie działalność Niemców dźwignęła miejscowe cywilizacye, a ich charaktery podwyższyły poziom ludzkich zalet“.

Aby zaprzeczyć temu faktowi nie potrzeba szukać daleko. Stuletnie dzieje Galicyi są aż nadto bijącym w oczy dowodem. Wylew Niemców w Galicyi zniszczył ją ekonomicznie, a nie podniósł pod żadnym względem.

Przed nastaniem ery konstytucyjnej i rządów polskich, chłop był głupi, ciemny i zgłodzony. Przemysłu nie było prawie całkiem, handel się nie rozwijał, ograniczał się do sprzedaży drobiazgowej i zostawał wyłącznie w rękach nieinteligentnych żydów. Miasta brudne, niezabrukowane, były przybytkami nędzy, chorób i ciemnoty. Lwów w r. 1827 mający 55.000 mieszkańców, miał ich po trzydziestu latach (w 1857 r.) 61.000 (w następnych „polskich“ trzydziestu latach doszedł do przeszło 140.000) — z gmachów okazalszych miał tylko to, co pozostało z czasów polskich lub co wzniosła inicyatywa prywatna (teatr Skarbka, Osolineum). Dopiero w r. 1862 wybudowano kolej do Lwowa. Uniwersytety krakowski i lwowski były w opłakanym stanie: we lwowskim ilość uczniów spadała (w r. 1855 było ich 702 w r. 1859 tylko 632) w krakowskim wynosiła 400 (dziś razem 4.000). Gimnazyów w r. 1857 było 14 (dziś jest tyle w samym Krakowie i Lwowie). Analfabetów liczyła Galicya w r. 1850 aż 90%, a w chwili nastania rządów polskich 85% (dziś jeżeli odtrącimy ludzi starszych, którzy urodzili się przed rządami polskimi, jest analfabetów 25%). Bogactw mineralnych, których Galicya ma taką obfitość, całkiem prawie nie wyzyskiwano — jedynie sól, pozostałość po dawnych polskich czasach, zasilała skarb niestety nie kraju, lecz państwa. Rolnictwo było w upadku: „Galicya (pisze w r. 1862 historyk), która była niegdyś jedną z najobfitszych krain Polski, dziś na własną konsumcyę nie ma dość zboża“.

Tak się „dźwigała miejscowa cywilizacya“ pod rządami niemieckimi i pod „wylewem“ niemieckim. A „poziom ludzkich zalet?“ O, tu „charakter“ tych „najlepszych“ zdziałał wiele. Utrzymywał pijaństwo, lichwę, budził wśród ludu dzikie instynkta, zaszczepiał serwilizm, tępił uczucia patryotyczne, stwarzał całe szeregi denuncyantów. Te „charaktery“ rzuciły posiew nienawiści plemiennej i stanowej — te „charaktery“ zdobyły się na czyn tak haniebny, bezprzykładny, jak rzeź galicyjska!

I dopiero kiedy ten „wylew“ ustał, kiedy ci „najlepsi“ przestali „dźwigać miejscową cywilizacyę“, kiedy ich „charaktery“ przestały podwyższać „poziom ludzkich zalet“, słowem kiedy ich „wylano“ z cywilizowanej przez nich ziemi, odetchnęła nareszcie Galicya i z trudem, bo z trudem, pomału w miarę możności, zaczęła przychodzić do siebie. Ciężkie miała zadanie odrobić to, co przez sto lat niszczono, marnowano, — ale chyba człowiek ślepy, lub zwaryowany doktryner nie widzi dodatnich skutków tej roboty. Jednego wrzodu tylko nie mogła usunąć: nienawiści plemiennej, jaką zaszczepili cywilizatorowie. Bo też to byli mistrze nielada!

To też kiedy na nowo Niemcy myślą o „wylewie“, kiedy na nowo „organizują się“ w Galicyi i pragną nas cywilizować, nietylko nie chcemy przyjąć tego dobrodziejstwa, ale całe siły wytężymy, aby ich nie dopuścić do „dźwigania miejscowej cywilizacyi..“ A gdybyśmy tego nie uczynili, wtedy dopiero moglibyśmy słusznie Prus nazywać nas... niedołęgami i niedbalcami.

Kazimierz Bartoszewicz.

Komisya kolonizacyjna natrafia jednak i na inne trudności. Obecnie i większa własność już dobrowolnie ziemi nie sprzedaje. Co było słabsze ekonomicznie lub moralnie, odpadło w pierwszych latach, i od r. 1897 podaż maleje stale, przeciętnie o 2.000 ha rocznie. Wpływają na to względy moralne, stanowisko zajęte wobec sprzedających przez społeczeństwo, ale niemniej i przyczyny materyalne, a przedewszystkiem niesłychane podniesienie się renty z ziemi, które paraliżuje i ustawę o wywłaszczeniu.

Jak wyżej wspomniano, rząd musi dać wywłaszczonemu pełne odszkodowanie, które wypadnie bardzo wysoko, gdyż cena ziemi ciągle wzrasta. Sama komisya kolonizacyjna płaciła w r. 1886 568 m., w r. 1901 801 m., w r. 1906 1383 m., w r. 1907 1508 m. za hektar. Twierdzą niektórzy, że ten wzrost ceny spowodowała właśnie sama komisya przez zwiększony popyt. Twierdzenie to jest mylne. Zygmunt Chłapowski wykazał w swej wyczerpującej pracy, że hektar ziemi w Wielkopolsce, przy normalnem dobrem gospodarstwie, przynosi 90 marek, wobec czego wart jest 2.250 marek. Nawet domeny królewskie wykazały w ciągu ostatnich 3 lat ogromną zwyżkę dochodów.

Przy takiej wartości ziemi i przy tendencyi do dalszej zwyżki, odszkodowania, jeśli mają być „pełne“, muszą być bardzo wysokie, a wtenczas zwiększy się i popyt na ziemię, co spowoduje dalszą zwyżkę. Gdyby odszkodowania były niskie, wywołałyby obawę kupna ziemi, to obniżyłoby jej cenę, a wtenczas komisya znowu poniosłaby straty, zyskaliby natomiast ci, których przedtem wywłaszczono, bo mieliby wysoką cenę za swą dawną własność, a nową kupowaliby po cenach niższych, a to zazwyczaj od Niemca, bo Polak w Wielkopolsce rzadko się dzisiaj pozbywa ziemi.

Zmieniłby się więc tylko warsztat pracy, ale własność polska nie tylko nie zmniejszyłaby się, ale owszem zwiększyła.

Pozostałaby zawsze strata moralna, przymusowe usunięcie z ziemi, która nieraz od wieków pozostawała w rodzinie, i przejście jej, jeśli nie na zawsze, to na bardzo długo w ręce obce.

Szkodliwie wpłynie wywłaszczenie na ludność roboczą pod względem narodowym. Po przejściu ziemi w ręce komisyi robotnik polski straci pracę na niej. Znajdzie ją wprawdzie gdzieindziej, ale nie u tych wywłaszczonych, co kupią ziemię gdzieindziej, bo oni tam już i robotnika zastaną. Trzeba się starać, aby jej nie musiał szukać na zachodzie, gdzie mu grozi wynarodowienie, trzeba u siebie, na wschodzie stworzyć warunki pracy przez intenzywne gospodarstwo, przez rozwój przemysłu, o czem się już myśli w poznańskiem.

Stratę poniosą oficyaliści wiejscy, bo ci najczęściej będą pozbawieni pracy przez rozparcelowanie większych majątków i będą musieli szukać innego rodzaju zajęcia.

Szkodliwie wpłynie także wywłaszczenie na miasta. Rząd nie kryje się z tem, minister powiedział to w komisyi wyraźnie, że chce otoczyć miasteczka pierścieniem niemieckich kolonii, aby podciąć dobrobyt kupców, rzemieślników, adwokatów, lekarzy, zależnych od wiejskiej klienteli. Statystyka miast, otoczonych nabytkami komisyi, jak np. Janowiec, wykazuje już dzisiaj wzrost ludności niemieckiej na koszt polskiej, co świeżo dało się odczuć przy wyborach do sejmu w okręgu gnieźnieńskim. Trzeba i temu zapobiegać, głównie przez szerzenie i wprowadzanie w czyn hasła: „Swój do swego“, bo cyfry statystyczne są smutne.

O szkodliwym wpływie wywłaszczenia dla Kościoła katolickiego była już wyżej mowa.

Takie mniej więcej mogą być skutki ustawy, które Wielkopolanie przewidzieli i przedyskutowali, zanim ustawa została uchwalona i zyskała sankcyę. Musiała więc wywrzeć silne wrażenie, ale nie był to popłoch, nie strach, tylko u gorętszych rozgoryczenie, które trzeba było hamować, bo rząd pragnie wybuchów, aby mógł iść dalej, — u rozważniejszych skupienie, pogłębienie i poczucie obmyślenia obrony. Cóż pod tym względem zrobiono?

W kwietniu odbył się wiec w Poznaniu, na którym postanowiono, że nie wolno zawierać ugody, ustępować tylko pod przymusem, dążyć do uzyskania jak najwyższych odszkodowań, nie wolno opuszczać kraju, ale za uzyskane pieniądze należy tam nabywać ziemię, ile możności z rąk niemieckich, gotówkę należy umieszczać w bankach polskich.

Ale wiece i uchwały — to mało. Trzeba pozytywnej pracy, trzeba zagrożonym przychodzić z pomocą. Wielka własność da sobie radę, gdyż ma zastęp ludzi doświadczonych, prawników i ekonomistów, sama nie ulegnie i obejmie przewodnictwo w walce.

Trzeba pomyśleć o ludziach, o oficyalistach, o mieszkańcach miast, którzy podlegną skutkom wywłaszczenia, a nie dostaną odszkodowania. Trzeba dla nich stworzyć nowe źródła dochodu, nowe pola pracy otworzyć. W tym celu powstaje Towarzystwo uprzemysłowienia kraju. Sprawa to bardzo trudna, z wielu różnorodnych przyczyn. Przedewszystkiem trzebaby przemysłowi dostarczyć węgla na miejscu. Rozpoczęto już prace, aby go uzyskać i są widoki, że skrzętne poszukiwania w ziemi przyniosą pomyślny wynik.

Kilka nieudanych prób osłabiło zaufanie do pracy na polu przemysłu, ale ostatnie lata wykazały, że wielkopolskie zakłady przemysłowe rozwijają się prawidłowo. Przekon... o tem społeczeństwa, dodanie otuchy i wiary we własne siły, to drugi cel organizacyi. Osiągnąć go nie będzie trudno, bo społeczeństwo wielkopolskie, zahartowane w walce a oparte na sile żywotnej narodu, patrzy w przyszłość z otuchą i wiarą.

„Zapewniam was“, — zakończył mowca — że możecie być o nas spokojni. „Straż nad Wartą“ czuwa, myśli poważnie o środkach obrony, i znajdzie je“.

Taka była treść wykładu, o ile zdołałem ją zanotować i uzupełnić szczegółami, udzielonymi mi łaskawie przez dra Dziembowskiego. Słuchacze doznali bardzo dodatniego wrażenia. Ten sam spokój który przebija z treści, brzmiał w głosie, widniał w wyrazie twarzy, w całem zachowaniu się mowcy. Nie było tam ani roztkliwienia przy omawianiu szkodliwych następstw ustawy, ani buńczuczności w zapewnieniu, że i ten cios przetrwamy; była godność męskość, która w słuchaczów wlała otuchę, że tą samą tężyzną odznacza się cała Wielkopolska, zahartowana w walce o najświętsze prawa. Znać było, że u nich „...nie brzmi już na strunach żal“, i nie ma już powodzenia nasze „jakoś to będzie“. Znać, że tam biorą się do czynów, że nie kierują się samem uczuciem, ale wszystko przemyślają i obliczają, że są świadomi i celów i środków, że znają wroga, a skoro mówią, że znajdą środki obrony, to można im wierzyć.

Tem przykrzej odbijała nasza obojętność na sprawy narodowe. Odczyt zgromadził bardzo mało słuchaczów. I nic dziwnego. Równocześnie odbywały się wyścigi, przy których chodzi przecież o podniesienie krajowego chowu koni; za godzinę miał wyruszyć lajkonik, więc trzeba było wcześniej zająć miejsca w kawiarniach, obok których przechodzi, bo to przecież takie nasze, narodowe, tradycyjne; a my tak ukochaliśmy przeszłość! wreszcie i z groszem musimy się liczyć; wstęp kosztował 2 K, na dalsze miejsca koronę, to dołożywszy drugie tyle można już mieć jakie takie miejsce na operetkę. Sprawa wywłaszczenia taka bolesna, a ży-

---

odpowiadam jego „echu“, bo ono do „Straży Polskiej“ wystąpiło ze swemi uwagami i naukami.

Przedewszystkiem muszę odparować cios w mój „Słownik“ wymierzony. Pan Bezstronny i Sprawiedliwy nie rozumie poprostu, że satyra nie jest od chwalenia, że „Słownik prawdy“ to nie zbiór poważnych rozpraw, ale krótkie mniej lub więcej złośliwe czy dowcipne uwagi, których ton i treść zależy od chwili i okoliczności. Forma „Słownika“, sposób w jaki go pisałem, pozwalał mi na taką, a nie inną charakterystykę Niemców, choćby oni stokroć byli lepsi, niż są rzeczywiście. A nawet gdyby byli stokroć lepsi, nikt średnio rozsądny nie podejrzywałby mnie, że każdemu z tych „ssaków“ przypisuję tępość umysłową, że każdą niemkę posądzam o duże stopy. Nie, studnio bezstronności, nikt rozsądny nie uwierzy, abym mógł mieć podobne zapatrywania, abym lekceważył zdolności umysłowe narodu, który wydał Goethych, Schillerów, Herderów, Lessingów, Humboldtów, Kantów, Helmholtzów, Beethowenów, Mozartów, Holbeinów, Kaulbachów itd. — a jeżeli chcesz, to przyznam, że widziałem i przystojnych Niemców i że istnieją nawet, choć rzadko, niemkinie o małych stopach. Powiem ci więcej — sam znałem uczciwych Niemców, sam z szacunkiem ściskałem niegdyś dłoń Roeplla i posyłałem z innymi telegramy dziękczynne do Windhorsta.

Ale jeżeli satyrykowi czy humoryście wolno przesadzać, bo przesada jest jego przywilejem i zresztą każdy rozsądny człowiek pozna się na niej łatwo, to mężom bezstronnym i sprawiedliwym, pisarzom występującym w roli poważnych statystów, nie wolno pisać panegiryków. A panegirykiem jest tak to co napisał Prus, jak i to co pisze szanowny mój nieprzyjaciel. Przyznają oni Niemcom wszystkie zalety, a nie wspominają o wszystkich ich wadach. Prawda, że Prus wie o „niemałej liczbie Niemców“ uciekających się do gwałtów, morderstw, łgarstw i najpodlejszych intryg, ale obciąża tem tylko tych, co się zajmują tak zwaną „wielką i silną polityką“. Więc tylko wielcy politycy niemieccy (właściwie trzeba mówić: prusacy, bo o nich tu idzie) są naszymi wrogami? Wprawdzie jest ich „liczba niemała“, może 1.000, może 10.000, może i 100.000, — ale reszta to ludzie z „charakterem, podwyższającym poziom ludzkich zalet“. Co innego rząd i jego poplecznicy, a co innego naród niemiecki.

Przyznaję, było tak niegdyś, nawet jeszcze po r. 1848, ale dziś po tej różnicy zostało tylko wspomnienie. Bismark zrobił swoje, znieprawił ducha niemieckiego, w narodzie filozofów i poetów zaszczepił dzikie instynkta, na miejscu zburzonej świątyni prawa wzniósł kolumnę kultowi siły. Zapewne, że błąkają się jeszcze dawne, piękne echa wśród niedobitków wielkich idei, podnosi głowę nawet stronnictwo, przeciwne istniejącemu porządkowi rzeczy, ale inteligencya niemiecka, to czoło narodu, pozbyła się zupełnie mrzonek idealnych. Na jakim globie przebywasz, o mężu metasprawiedliwy, jeżeli nie wiesz, że hakatyzm, to nie rząd niemiecki, jeżeli nie wiesz, że już nie w Prusach, ale w Austryi ogarnął Niemców szał nienawiści, żądza tępienia i niszczenia. Wszak wielki uczony, chluba narodu, Momsen, to nie rząd niemiecki, a kazał rozbijać czaszki słowiańskie. Następca Herderów, Kantów, filozof Hartman, to nie ów rząd, a wzdychał do powrotu krzyżackich czynów i ideałów, uważając tępienie innych szczepów (ausrotten) za środek konieczny i sprawiedliwy. A Waltmann, uczony antropolog „polityczny“, czyż nie uznaje za pewnik, że Chrystus właściwie był germaninem, czy nie zabiera dla niemców Dantego i Cezara o czaszce „czysto germańskiej“, ażeby udowodnić, że cały świat powinien ulędz rasie germańskiej i ażeby wezwać do ochrony czystości tej rasy za pomocą „wszelkich środków“. Chyba młodzież, to także nie rząd niemiecki, owszem młodzież, to wrodzona opozycya, a kto, jak nie młodzież rzuciła hasło wypędzenia z uniwersytetów uczniów słowiańskich. A centrum katolickie, a niemiecki kler katolicki, czy się nie wyrzekli przed kilku laty obrony tych, za których przedtem jeszcze walczyli. Dziś znowu zbliżyli się do nas, bo idzie im o własną skórę, bo rząd niemiecki kopnął ich przed rokiem przy wyborach do parlamentu, bo poczuli się na Śląsku zwyciężeni. Ale to im nie przeszkadza prowadzić polityki antypolskiej nad Renem, to im nie przeszkadza nie dopuszczać w Berlinie polskich nabożeństw kazań i śpiewów kościelnych. Świeżo, po raz pierwszy zabronili w kościele berlińskim urządzić polskiej procesyi Bożego Ciała.

A zresztą, mężu bezstronny i sprawiedliwy, czy nie otworzyłyby ci oczu ostatnie gwałty pruskie? Wszak te gwałty uchwalili wybrańcy narodu, wszak nawet wolnomyślni, głoszący wolność we wszystkiem i dla wszystkich, sprzedali rządowi swe głosy za cenę nawet niebardzo wysoką. A jaka reprezentacya narodu, taki i naród.

Czy nie widzisz, ocenianie bezstronności, że hakatyzm przeszedł już dawno granice Prus i państwa niemieckiego. Czy nie widzisz co Niemcy wyprawiają w Cieszynie, jak się organizują w Galicyi? A przeczytaj sobie w dzisiejszym numerze „Straży“ jak hakatyści podnoszą głowę w Warszawie. Przeczytaj sobie także w dziennikach, jak świeżo p. Lueger wzywał „poetów“ niemieckich do germanizowania Czechów, przeczytaj, co za awantury wyprawiają panowie wiedeńscy ministrowi oświaty za to, że w szkole czeskiej egzaminowała komisya złożona z czeskich nauczycieli. Wszak to nie Prusacy, nie Niemcy czescy nawet, ale poczciwi, „że ich do rany przyłożyć“, wiedeńczycy.

Widocznie musiałeś spać długie lata, mężu bez

cie i nam tu nie szczędzi przykrości... a „Wesoła wdówka“... taka wesoła!!!

Dr Kazimierz Jordan Rozwadowski.

Grunwald — Hołd pruski — Dzisiaj.

Kiedy teraźniejszy następca polskich hołdowników rzucił w lipcu roku 1903 z maryenburskiego zamku obelgę pols...mu Narodowi, wówczas z iście żywiołową siłą i ze szlachetną okazałością przypominało nasze społeczeństwo chytremu zaborcy pewne lipcowe rocznice .. 19. lipca, dzień hołdu pruskiego, a zwłaszcza 15., dzień grunwaldzkiego zwycięstwa, podniosły się odtąd jakby do rzędu świat narodowych. Szereg wspaniałych obchodów, szereg sposobności do podsycania w sobie patryotycznego znicza, niewątpliwe oświecenie i rozgrzanie przez to naszych uczuć dla Ojczyzny, przeważyło tamtę pyszałkowatą zniewagę. Głośny mówca przegrał tu z nami bitwę na słowa.

Lecz drobne to tryumfy, albo pamięć dawnych. A stan obecny podobny do męczarni, a równie okrutny, jak osobliwy Wszakże my sami, chociaż pełni cierpienia, zdumieni jesteśmy niespodziewaną, nadludzką pomysłowością pruską Kolonizacya, wywłaszczenie i zakaz ojczystej mowy na tle konstytucyi — to przecież środki nowe i demonicznie wielkie! Na szczęście duch polski, krzepiony dziejami i rosnącą kulturą, jest na tyle silny, że najboleśniejsze ciosy ciemięzców są dlań pobudką, nie dobiciem. Istotnie rodzima polskość wydobywa się w naszych oczach z pod wielowiekowej powłoki niemieckiej na Śląsku, oświata szerzy się w sposób, radość budzący, ostatnie zaś wybory do Sejmu pruskiego cyfrowo stwierdziły powiększenie się żywiołu polskiego w ostatnich krwawych i opłakanych latach.

Na malborska demonstracyę odpowiadamy uroczystościami, na nową wojnę odważnym, pancernym odporem. Jest to dalszy ciąg, do epoki zastosowany, grunwaldzkiego dzieła. Błyszczące bowiem chwile dziejowe, dzień tryumfu nad krzyżactwem i dzień uklęknięcia Alberta przed królewsko tronującym Zygmuntem, chwile chlubne i krzepkości dodające Narodowi na długotrwałe okresy historyczne — nie były tak twórcze i doskonałe, aby moc naszą założyć i utwierdzić. Te piękne przodków dzieła uszanowawszy z wdzięcznością, trzeba przecież najkonieczniej uzupełnić.

Bezkrytyczne uwielbienie choćby dla rzeczy tak wspaniałych w Narodzie, jak Grunwald i hołd pruski, byłoby jednak ciemnem bałwochwalstwem narodowem, a przez znieczulenie na braki i wady owych czynów zagrodziłoby drogę narodowego postępu. Wszakże nie za to wychwalamy zwycięzców grunwaldzkich, że po walnej bitwie rozbiegli się niecierpliwie i bezmyślnie, a zżętego zboża nie zawieźli do gumna Ojczyzny! Przez brak wytrwałości u rycerstwa i bratnia zazdrość Witolda owocem tak wielkiego bohaterstwa była ledwie ziemia Dobrzyńska, Zawkrzeńska i jednorazowa danina — wszystko inne w ciągu paru miesięcy odzyskał słaby, lecz konsekwentny Zakon. Świetny znów akt hołdu pruskiego, znieprawiony był prywatą Zygmunta, który ze względów rodzinnych dopuścił marniejący Zakon do świeckiej potęgi, dobru Polski szkodliwej, a zarazem dla tegoż nepotyzmu poświęcił przekonania religijne, pozwalając Zakonowi przyjąć dla widoków ziemskiego powodzenia protestantyzm. Tak więc mało skuteczne i niedokończone zostały przedsięwzięcia naszych duchowych spadkodawców.

Przydajmy więc do tej spuścizny nieugiętej wytrwałości. Prusy umieją straszliwie być wytrwałe w przewrotności, toż łatwiej, bo sumienniej, nam trwać w obronie praw narodowych. Pozbądźmy się bratniej zazdrości, a współzawodnictwo niech się objawia tylko w czynieniu jak najwięcej dobrego; tak to rzetelniej i wiekopomniej będziemy wyniesieni nad tych, ku którym zrywa się w nas zawiść. Duchowi publicznemu pozwólmyż raz wstąpić w siebie! Publicznie przecież jesteśmy jak martwi! Bez ducha publicznego zaś i wielekroć od Polski potężniejsza starożytna „Roma“ uległa haniebnemu rozkładowi, jako rzecz bez życia! Sumienia, podwaliny naszego życia duchowego, nie dajmy zachwiać postronnym wpływom. A w ten sposób dodawszy do drogocennych narodowych tradycyi uczciwą, nową pracę, i ofiarą własną pomnożywszy wartość narodowego dobra, z pewniejszą otuchą oczekiwać będziemy „Grunwaldów“ i „hołdów pruskich“ przyszłości.

Dr. Kazimierz Lubecki.

Prosektoryum amatorów.

Od pewnego czasu weszło u nas w zwyczaj publiczne obnażanie najwstrętniejszych ran społecznych. Wyrazy, które przedtem po cichu wymawiano, dziś publikują się afiszami na wszystkich rogach ulic. Na wiecach, urządzanych przez narwane jednostki lub doktrynerki „uświadamiania“, opowiada się młodzieży wszelkie tajemnice życia płciowego i wszelkie objawy zwyrodnień i chorób płciowych. Prostytucyę omawia się jawnie i szczegółowo wobec młodych słuchaczy i słuchaczek bez wszelkiego krępowania się jakimikolwiek względami. A czyni się to wszystko w imię... postępu.

Obowiązkiem „Straży Polskiej“ było zwrócić uwagę na ten objaw chorobliwy i wysoce niebezpieczny — to też mieliśmy zamiar, choćby nas posadzono o „wsteczność“, położyć *veto* przeciw tej szkodliwej zabawie niedowarzonych umysłów. Zanim jednak zamiar nasz doszedł do skutku, zabrał głos w tej sprawie znakomity pisarz postępowego obozu, Aleksander Świętochowski. Skwapliwie chwytamy sposobność wyręczenia się jego słowami i poglądami, — raz dlatego, że w zupełności podzielamy jego zapatrywania, a powtóre dlatego, że „Posła prawdy“ nikt chyba o wstecznictwo posądzić nie może.

Należy jeszcze dodać, że chorobliwy ten objaw wystąpił w Warszawie z dziesięć razy większą siłą, niż u nas. Były to poprostu orgie, w których brały udział nietylko „siły miejscowe“, ale na które do „ról gościnnych“ zapraszano z Galicji. Tak rozumiano mniemaną „swobodę słowa“, na co też Świętochowski kładzie nacisk w swoim artykule.

Redakcya.

Z rozszerzonych granic swobody wszyscy skorzystali, jak umieli, jak chcieli i jak im wskazywał interes. Niewątpliwie, otwartemi jej ujściami popłynęło wiele usiłowań poważnych, zdrowych, twórczych i płodnych, ale też rzuciło się bardzo dużo mętów i skanalizowanych wolnością wydzielin chorobliwych. Nie byłoby w tem nic nienaturalnego i groźnego, gdyby stosunek tych pierwiastków nie wykazywał zbyt wysokiego procentu ostatnich. Wiemy, jak się rozpostarł po naszem życiu bandytyzm pod najrozmaitszemi formami, przybierającemi nieraz postać ideową — „anarchistycznego komunizmu“; wiemy, jak się rozhulała napastniczość potwarcza i terror zbrodniczy; na jeden wszakże objaw mało zwrócono uwagi — na wybuch seksualizmu.

Schiller powiada, że światem rządzą głód i miłość. Tylko więc ślepota, nie umiejąca dostrzedz rzeczywistości, lub obłuda, pragnąca zataić pewne jej strony, może lekceważyć olbrzymią potęgę, która działa w popędach płciowych i tylko lekkomyślność może zakrywać jej zboczenia i zwyrodnienia przeźroczystemi zasłonami. Zwłaszcza zaś prostytucya

---

stronny, a przeludziwszy się sądzisz, że dzisiejsi Niemcy, to twoi Niemcy dawnych czasów. A może powiesz, że i dziś odzywają się głosy szlachetniejsze — ale naprzód jakże ich mało, a następnie przypatrz się bliżej tej szlachetności. Występują one przeciw hakatyzmowi, bo to „zły system“ przeciw „niższym rasom“, bo sądzą, że łagodnością, ścisłem trzymaniem się prawa, Niemcy prędzej dojdą do upragnionego celu. Hakatyści chcą nas pożreć odrazu, gwałtownie i łamią sobie zęby, — antyhakatyści pragną nas pożreć powoli, ale pewnie, w słodkiej potrawce, nie narażając swych dziąseł nawet na lekkie zadraśnięcie.

Nie twój list, powtarzam, beczko sprawiedliwości, zmusił mnie do tak długiej odpowiedzi. Skorzystałem z niego tylko, aby poruszyć sprawę bałamucenia opinii przez „poważne“ głosy, wprowadzające niewłaściwą, szkodliwą czułostkowość do oceny dzisiejszych Niemców. Polityka to nie romans i życie, niestety, to także nie romans. Komu zrywają dach nad głową, temu nie wybiegać do złoczyńców ze słowem miłości; podpalacza bij, złodzieja ..., ale nie praw mi w tej właśnie chwili, gdy ... lub podpala, o jego cnotach utajonych, lub o tem, że jego babka była uczciwą niewiastą. Kiedy go odegnasz, wówczas dopiero możesz rozczulać się nad jego cnotami i babce jego stawiać w swem sercu pomniki. Na wszystko jest pora.

Kto nie widzi dzisiejszej zaciekłości germańskiej, kto nie pozbył się złudzeń co do szlachetności dzisiejszego ducha niemieckiego, ten albo nie zna stanu rzeczy i nie umie zdobyć się na jasny, trzeźwy pogląd o stosunkach, albo też jest doktrynerem. A głosy ludzi nie patrzących trzeźwo nie mają wagi w radzie o dobru pospolitem.

* * *

Miałem nie odpowiadać Prusowi, a jednak powstrzymać się trudno.

Nie będę polemizował z twierdzeniem, że Niemcy są „najlepsi“, że stanowią „doskonalszą odmianę gatunku ludzkiego“, że mają prawo i obowiązek wlewać się wszędzie i t. d. i t. d., bo nie sądzę, aby kto te zapatrywania Prusa podzielał. Naturalnie podzielają je Niemcy, lecz i to wątpię czy wszyscy.

Ale Prus podaje jako fakt, że „wszędzie działalność Niemców dźwignęła miejscowe cywilizacye, a ich charaktery podwyższyły poziom ludzkich zalet“.

Aby zaprzeczyć temu faktowi nie potrzeba szukać daleko Stuletnie dzieje Galicyi są aż nadto bijącym w oczy dowodem. Wylew Niemców w Galicyi zniszczył ją ekonomicznie, a nie podniósł pod żadnym względem.

Przed nastaniem ery konstytucyjnej i rządów polskich, chłop był głupi, ciemny i zgłodzony. Przemysłu nie było prawie całkiem, handel się nie rozwijał, ograniczał się do sprzedaży drobiazgowej i zostawał wyłącznie w rękach nieinteligentnych żydów. Miasta brudne, niezabrukowane, były przybytkami nędzy, chorób i ciemnoty. Lwów w r. 1827 mający 55.000 mieszkańców, miał ich po trzydziestu latach (w 1857 r.) 61.000 (w następnych „polskich“ trzydziestu latach doszedł do przeszło 140.000) — z gmachów okazalszych miał tylko to, co pozostało z czasów polskich lub co wzniosła inicyatywa prywatna (teatr Skarbka, Ossolineum). Dopiero w r. 1862 wybudowano kolej do Lwowa. Uniwersytety krakowski i lwowski były w opłakanym stanie; we lwowskim ilość uczniów spadała (w r. 1855 było ich 702 w r. 1859 tylko 632) w krakowskim wynosiła 400 (dziś razem 4.000). Gimnazyów w r. 1857 było 14 (dziś jest tyle w samym Krakowie i Lwowie) Analfabetów liczyła Galicya w r. 1850 aż 90%, a w chwili nastania rządów polskich 85% (dziś jeżeli odtrącimy ludzi starszych, którzy urodzili się przed rządami polskimi, jest analfabetów 25%). Bogactw mineralnych, których Galicya ma taką obfitość, całkiem prawie nie wyzyskiwano — jedynie sól, pozostałość po dawnych polskich czasach, zasilała skarb niestety nie kraju, lecz państwa. Rolnictwo było w upadku: „Galicya (pisze w r. 1862 historyk), która była niegdyś jedną z najobfitszych krain Polski, dziś na własną konsumcyę nie ma dość zboża“.

Tak się „dźwigała miejscowa cywilizacya“ pod rządami niemieckimi i pod „wylewem“ niemieckim. A „poziom ludzkich zalet?“ O, tu „charakter“ tych „najlepszych“ zdziałał wiele. Utrzymywał pijaństwo, lichwę, budził wśród ludu dzikie instynkta, zaszczepiał serwilizm, tępił uczucia patryotyczne, stwarzał całe szeregi denuncyantów. Te „charaktery“ rzucały posiew nienawiści plemiennej i stanowej — te „charaktery“ zdobyły się na czyn tak haniebny, ... bezprzykładny, jak rzeź galicyjska!

I dopiero kiedy ten „wylew“ ustał, kiedy ci „najlepsi“ przestali „dźwigać miejscową cywilizacyę“, kiedy ich „charaktery“ przestały podwyższać „poziom ludzkich zalet“, słowem kiedy ich „wylano“ z cywilizowanej przez nich ziemi, odetchnęła nareszcie Galicya i z trudem, bo z trudem, pomału w miarę możności, zaczęła przychodzić do siebie. Ciężkie miała zadanie odrobić to, co przez sto lat niszczono, marnowano, — ale chyba człowiek ślepy, lub zwaryowany doktryner nie widzi dodatnich skutków tej roboty. Jednego wrzodu tylko nie mogła usunąć: nienawiści plemiennej, jaką zaszczepili cywilizatorowie. Bo też to byli mistrze nielada!

To też kiedy na nowo Niemcy myślą o „wylewie“, kiedy na nowo „organizują się“ w Galicyi i pragną nas cywilizować, nietylko nie chcemy przyjąć tego dobrodziejstwa, ale całe siły wytężymy, aby ich nie dopuścić do „dźwigania miejscowej cywilizacyi..“ A gdybyśmy tego nie uczynili, wtedy dopiero mógłby słusznie Prus nazywać nas... niedołęgami i niedbalcami

Kazimierz Bartoszewicz.

jest tą głęboką, coraz szerzej się rozwierającą i coraz zaraźliwszą raną, o której myśleć i mówić, którą leczyć trzeba. Ale pod warunkiem, obowiązującym zresztą wszelkie badania, że to czynić będą ludzie, którzy do tej sprawy wniosą gruntowną wiedzę i powagę sądu. Tymczasem przed jakie instancye my ją wprowadziliśmy! Kto kilka razy odwiedzał lupanar, a zwłaszcza kto wyniósł z niego smutny upominek; kto zetknął się z królowemi lub służebnicami nocy; kto przeczytał parę pornograficznych powieści, — uczuwał powołanie Lykurga i z katedry publicznej lub kolumn prasy ogłaszał nam prawa o nierządzie. Na wiecach pedagogicznych dzieci rozprawiały całemi godzinami o tym przedmiocie. Może nigdy ściany gabinetu lekarza nie słyszały tak bezwstydnych, drobiazgowych wyznań i spostrzeżeń, jak ściany Filharmonii, natłoczone wielotysięcznem zebraniem, pouczanem przez gimnazistów. Te publiczne wymioty moralne, te popularne wykłady o zgniłych i zwyrodniałych popędach były ze strony nieletnich prosektorów płciowości rodzajem rewolucyjnej odwagi i bohaterskiego buntu przeciwko „tak zwanym rodzicom“ i „tak zwanej etyce“; ze strony zaś ich audytoryum był to dowód „uszanowania dla wolności słowa“ i „nowych prądów życia“. Biedna rewolucya, której używano do najrozmaitszych posług, musiała również sprzedawać na targu ludzką padlinę. Bywały chwile, w których zdawało się, że gdyby Warszawę nakryć jednym dachem, mielibyśmy wielki dom publiczny. Nowa Sodoma, gorsza od starej, bo w niej nawet nie było Lota.

Jest to prawdą, że w społeczeństwie ubezwłasnowolnionem i pozbawionem samorządnego regulowania spraw swoich, muszą wszystkie jego choroby przybierać tę ostrość rozwoju, który im nadaje długie zaniedbanie. Jest to prawdą, że pewne, wierzchnie warstwy naszego narodu są fizycznie wyczerpane i bardzo skłonne do zboczeń. Jest to również prawdą, że nienormalne, stale drażniące warunki życia utrzymują nas w stanie ciągłego zdenerwowania, które wywołuje nadmierną wrażliwość nerwową. Ale i to także jest prawdą, że w niewoli myśl nasza odwykła od poważnych zagadnień i ogromnie zredukowała ich skalę, że pozyskaną swobodę zużytkowaliśmy w znacznej części na wybuchy dyletantyzmu. Setkom, tysiącom umysłów płytkich i niedojrzałych, których jedyną wiedzą była bolesna świadomość długiego, przymusowego milczenia, zdawało się, że nagromadziły mnóstwo mądrości, którą powinny coprędzej rozdać głodnemu społeczeństwu. A szczególnie czuły one tę pobudkę wobec przedmiotów, o których dotychczas nie wolno było mówić wcale, lub całkowicie otwartemi ustami. W chwilach przełomu, w chwilach rozpadania się murów więziennych życia, najwięcej rodzi się prawodawców. Przypomnijmy sobie, ile to po deszczu wolności wyrosło u nas grzybów ochotniczego ustawodawstwa. Ludzie, którzy posiadają mało wiedzy i energii, posiadają zawsze dużo chęci rozkazywania innym. Pobop do komendy objawia się często jako niezdolność do czynów. Tego dobrego mieliśmy bezmiar.

Wygląda to nieprawdopodobnie, a jednakże jest faktem, że najgłośniej brzmiącemi wyrazami, jakie opinia publiczna rzuciła w pustkę naszego życia podczas ostatnich lat, były autonomia i... prostytucya. Te dwie sprawy głównie wypełniały nam próżnię, one stały się źródłami najliczniejszych i najobfitszych kaskad wymowy w artykułach i odczytach. Pierwsza wyschła już zupełnie, druga leje się ciągle potokami. Bez prostytucyi nie możemy przeżyć jednego dnia. Walkuje ją prasa, urządza z niej wystawy katedra publiczna; nie wychodzimy z lupanarów, nie przestajemy obcować ze służebnicami rozpusty, pławimy się w tym błocie z zapamiętałością godną żab i mięczaków. A jest to przedewszystkiem pławienie się. W tych artykułach, rozprawach, przeciągłych krzykach i moralizatorskich kazaniach nie ma nowego materyału, nie ma gruntownych studyów, nie ma oryginalnych punktów widzenia, tylko zjełczałe frazesy, wiązki osobistych spostrzeżeń i doświadczeń, które niczego nie uczą i niczego nie rozświetlają. Ale drażnią, — i to zapewnia im powodzenie. Prostytucya, jako zjawisko społeczne, wyszła z pracowni badaczów, gdzie ją rozważano pod osłoną powagi naukowej, i wepchnięta została w zupełnem obnażeniu na plac publiczny, gdzie ją oglądają amatorowie cuchnących przysmaków, eksrozpustnicy, moralne mortinistki, uczniowie i pensyonarki.

Na co nam to jest potrzebne? Czy można spodziewać się jakiegoś pożytku z tej frazeologicznej wody po obmytych wrzodach i z tego wylewania jej na ulice? Doprawdy czas już zaprzestać powszechnego babrania się w niej i pozostawić ją tym, którzy w laboratoryach nauki dokonywają analizy zjawisk społecznych. *Poseł Prawdy.*

Nasze kresy zachodnie.

Powiat bialski.

II.

W poprzednim numerze staraliśmy się wykazać braki, jakie wykazuje nasza dotychczasowa gospodarka na kresach zachodnich. Potrąciliśmy o wiele spraw doniosłego znaczenia, ale podaliśmy statystyki niewiele, a przecież dla znawców jest właśnie ten rodzaj wszelkich sprawozdań najwymowniejszy.

Daty w dzisiejszym artykule opierać się będą przeważnie na pracy p. Gustawa Schlauera, nauczyciela wydziałowego w Starym Bielsku, który w r. 1907 wydał broszurkę p. t.: „Die nationalen Verhaltnisse und Aufgaben der deutschen Sprachinsel Bielitz-Biala“. Broszurkę tę ogłosił p. Schlauer, jak rodzaj pewnego upominku czy memoryału dla domorosłych i zagranicznych przyjaciół-hakatystów. Większą jej część zajmuje sprawozdanie, odnoszące się do spraw niemieckich na Śląsku, mniejszą poświęcono Niemcom galicyjskim.

Pomijamy na razie statystykę, odnoszącą się do Śląska, korzystając tylko z uwag ogólnych autora, a bierzemy pod ścisłą rozwagę wszelkie obliczenia, dotyczące Galicyi.

Na pograniczu galicyjskiem, jakby klin, wbity między Polaków galicyjskich a śląskich, znajduje się cały szereg wsi niemieckich, stanowiących łupinę orzecha, którego jądrem są oba miasta fabryczno-przemysłowe, Bielsk-Biała.

Na Śląsku jest tych wsi, które wykazują większość niemiecką, siedm; dziesięć natomiast takich, które mają bardzo poważną mniejszość, albo też nareszcie i takich, które przy niezwykle szczupłej liczbie Niemców, przez wszechstronne poparcie hakatystów z Bielska-Białej, zyskują coraz więcej przywilejów np. w Dziedzicach na 192, według obliczenia Schlauera, szkołę kilkoklasową niemiecką, podczas gdy 1358 „Słowian“ nie może jej uzyskać.

W Galicyi stanowią przedmurze „niemieckiej“ Białej trzy wsi; z tych przylega do Białej Lipnik, jako przedmieście (Kunzendorf), do Lipnika Hałenów (Alzen), a oddzielone od Hałenowa Pisarzowicami i Hecznorowicami, Wilamowice wykazują najmniejszą ilość Niemców i najbardziej zepsuty żargon niemiecki. Wilamowice odległe są od Białej o dwie mile i stąd trudniej im było utrzymać ściślejsze stosunki z rodakami niemieckimi. Przez długie wieki posługiwali się wyłącznie swoim językiem, który okazuje dużo naleciałości polskich. Do czasowników niemieckich dodają w potocznej mowie bardzo często polską końcówkę, zwłaszcza w trybie rozkazującym (np. komm'cie, ess'cie).

Od wielu lat znajduje się w Wilamowicach szkoła polska, jedyny chyba wyjątek w Galicyi. Dzieci niemieckich rodziców uczą się języka polskiego i to bardzo chętnie, choć nie brakło i nie brak dotychczas zakusów ze strony niemieckiej, by szkołę tę wydrzeć Polakom. Wilamowice wydały zresztą cały szereg znakomitych ludzi, którzy dla kraju położyli niepospolite zasługi.

Gorzej jednak znacznie przedstawia się sprawa w Lipniku i w Hałenowie. Jeżeli mamy wierzyć statystyce p. Schlauera, to w obu tych gminach żywioł niemiecki wzmaga się znacznie. Tabelka statystyczna mówi sama za siebie:

Stan ludności w r. 1890

Gminy	Ogół. ści	Niemcy Ilość	%	Polacy Ilość	%
Biała	7622	5876	77·3%	1746	22·7%
Hałenów . .	2592	2293	91·7%	299	8·3%
Lipnik . .	7172	4030	56·8%	3010	43·2%
Wilamowice	1725	1226	72·1%	420	27·9%
Suma	19111	13425	70·6%	5475	29·4%

W przeciągu jednego dziesięciolecia zaszły pewne zmiany, ale nie na naszą korzyść. Przekonamy się bowiem z następnej tabelki, że zyskaliśmy nieco w niektórych miejscowościach na liczbie, ale w innych straciliśmy tak wiele, że na ogół przyrost procentowy ludności niemieckiej góruje nad przyrostem ludności polskiej.

Stan ludności w r. 1900

Gminy	Ogólna liczba ludności	Niemcy Ilość	%	Polacy Ilość	%
Biała	8264	6531	79·6%	1733	20·4%
Hałenów . .	2651	2313	88·9%	338	11·1%
Lipnik . . .	8417	5552	66%	2769	34%
Wilamowice	1816	1191	66·1%	625	33·9%
Suma	21148	15587	74·2%	5465	25·8%

Jeśli porównamy obie tabelki, otrzymamy wynik nie bardzo pocieszający. W Hałenowie i Wilamowicach przyrósł niewielki procent Polaków, ubyło ich natomiast znacznie w Białej i w Lipniku.

Następna tabelka, podająca przyrost i ubytek obu narodowości, pouczy nas o tem dokładnie

Przegląd przyrostu i ubytku obu narodowości.

Gminy	Niemcy Ilość w % 1890	Niemcy Ilość w % 1900	Niemcy Przybytek %	Niemcy Ubytek %	Polacy Ilość w % 1890	Polacy Ilość w % 1900	Polacy Przybytek %	Polacy Ubytek %
Biała	77·3	79·6	2·3	—	22·7	20·4	—	2·3
Hałenów . .	91·7	88·9	—	2·8	8·3	11·1	2·8	—
Lipnik . . .	56·8	66	9·2	—	43·2	34	—	9·2!
Wilamowice	72·1	66·1	—	6	27·9	33·9	6	—
Suma	70·6	74·2	3·6	—	29·4	25·8	—	3·6

Sprawa przedstawia się zatem nazbyt jasno i wyraźnie. Podczas gdy w r. 1890 było w Białej na stu ludzi 77·3 Niemców, a 22·7 Polaków, to w r. 1900 wypadało na setkę 79·6 Niemców a 20·4 Polaków; ubyło nas zatem 2·3%. Gorzej ma się jeszcze rzecz z Lipnikiem: w r. 1890 przypadało na stu mieszkańców 56·8 Niemców, a 43·2 Polaków, w r. 1900 natomiast było na stu mieszkańców aż 66 Niemców a tylko 34 Polaków. Ubyło nas zatem na każdej setce o 9·2, czyli rachunek wypada na ogromną niekorzyść żywiołu polskiego. Ogółem urośli Niemcy o 15·8% we wszystkich wyżej wymienionych gminach, a Polacy stopnieli o 0·1%.

Gdzie szukać przyczyny złego i w czem ona leży?

Już w poprzednim numerze staraliśmy się wykazać, jak wielką siłę i przewagę materyalną posiadają Niemcy, a jak małą mamy my, Polacy. Niemcy mają szkoły swoje w Białej, Lipniku i Hałenowie; Polacy mają dotychczas w Białej szkołę wydziałową im. T. Kościuszki, w Hałenowie pierwszy zaczątek otrzymali w roku szkolnym 1907/8, na Leszczynach (Lipnik) znowu od niedawna szkółkę w której działa polska czerpie naukę w języku ojczystym. Wszystkie te szkoły kresowe polskie powstały z inicyatywy Tow. Szkoły Ludowej, zwłaszcza z zapobiegliwości Koła Pań. Należy też przypuszczać, że nowy spis ludności z r. 1910 wykaże przyrost Polaków a ubytek Niemców, bo szkoła jest zawsze i wszędzie najsilniejszą twierdzą narodowości. Wiedzą o tem Niemcy bardzo dobrze. Dlatego też potworzyli cały szereg dobrze zorganizowanych szkół na całym obszarze ziemi kresowej. Nie tai się również z tą myślą p. Schlauer i otwarcie z nią w swojej broszurze występuje. Na str. 42 powiada: „Punktem wyjścia i podstawą wszelkiego wpływu narodowego będzie zawsze szkoła. Zdanie to: kto posiada szkołę, ten posiada przyszłość, znaczy pod względem narodowym więcej niż gdziekolwiek indziej. Dlatego też

najważniejsza czynność Rady narodowej musi się skierować ku sprawom szkolnym".

A to nie jedyna „złota" rada — znajdziemy cały szereg podobnych u autora, o czem pomówimy później, kiedy będzie mowa o środkach przeciwdziałających germanizacyi.

Na zakończenie podamy tylko dosłowne tłómaczenie ustępu na str. 43:

„Musimy w interesie naszej narodowości żądać narodowo uświadomionego i myślącego nauczycielstwa. Polacy posiadają je już od dawna. W tutejszym powiecie (w bialskim — przyp. tłom.) istnieje związek nauczycielski, który obejmuje niemieckich i polskich nauczycieli. Obok tego posiadają Polacy swoje „kołka". (w oryg. po polsku — przyp. tłóm.). Niemcy lękają się jednak dotąd ustawicznie omawiać w stowarzyszeniu nauczycielskiem narodowe zagadnienia wychowawcze, bo godność stanu mogłaby na tem ucierpieć (Biedne ofiary! Przyp. tłóm.). Jak daleko posuwa się polska agitacya, można po tem zauważyć, że w publicznej szkole jednej ze sąsiednich polskich gmin daje nauczyciel dzieciom szkolnym do rąk bez obawy polskie pisma podburzające (Hetzschriften!) przeciwko niemczyźnie i fakultatywnej nauce języka niemieckiego, ba, to nawet faktem, że niedawno w niemieckiej szkole naszego okręgu niemiecki nauczyciel wezwał dzieci niemieckie, by nie po niemiecku lecz po polsku mówiły".

Czy trzeba jeszcze lepszej ilustracyi stosunków? Jacy ci Niemcy — i to ślascy w dodatku — biedni i uciśnieni, jaka krzywda się im dzieje, że jedyny obrońca niemieckości, p. Schlauer, dopuszcza się na swoich kolegach aż nikczemnej denuncyacyi, byle niemieckość uratować od zagłady! Gdybyśmy sięgnęli po tego rodzaju przykłady, zabrakłoby z pewnością skóry ze wszystkich wołów i osłów niemieckich, by je spisać. „Na Boga żywego stój, nie rznij Niemca", bo i tak nadto biedny i pognębiony.

Quidam.

Przyczynki do „kwestyi ruskiej".

II.

We wstępie do „Przyczynków" zaznaczyłem fakt ogólnie stwierdzony, że po zaborze Galicyi przez Austryę większość inteligencyi ruskiej była przez całe dziesiątki lat, prawie wiek cały, przesiąknięta patryotyzmem polskim i język polski uważała za swój język ojczysty. Mówi o tem tradycya, zaznaczają to współczesne pamiętniki. Ale pamiętnikom i tradycyi zarzucić można niedokładność, tendencyjność, stawianie tezy na podstawie sporadycznych wypadków. Dobrze więc jeżeli powagę tradycyi i prawdomówność pamiętnikarzy można stwierdzić urzędowymi dokumentami. A takich dokumentów przybywa coraz więcej od chwili, kiedy ułatwiono badaczom dostęp do tajnych archiwów austryackich z pierwszej połowy XIX. w.

Dzięki tym dokumentom wyjaśniają się zresztą nie tylko przyjazne stosunki między inteligencyą ruską i polską, stosunki oparte na wspólnych ideałach i dążnościach, na przekonaniu o jedności narodowej. Przybywają też cenne przyczynki do historyi ruskiego języka i do początków zarówno „moskalofilstwa" jak i budzenia przez rząd austryacki poczucia odrębności narodowej wśród Rusinów, aby położyć tamę „niebezpieczeństwu" polskiemu.

Świeżo zbiór takich dokumentów w opracowaniu p. Terszakowca wydało Towarzystwo imienia Szewczenki we Lwowie [1]. Postaram się z niego wyciągnąć nieco interesujących faktów, uzupełniając je szczegółami podanemi przez p. Józefa Krajewskiego w jego pracy „Tajne Związki polityczne w Galicyi od r. 1833 do r. 1841 (Lwów 1903). Dla trudności ujęcia materyału w pewną całość, trzymać się będę porządku chronologicznego.

Dokumenty wydane przez p. Terszakowca rozpoczynają się od sprawy nominacyi cenzora dla książek ruskich. W roku 1832 Jan Lewicki, ksiądz gr.-katolicki, złożył lwowskiej cenzurze rękopis ruskiej gramatyki. Pomiędzy cenzorami nie było jednak żadnego, któryby znał język ruski *(russinische Sprache)*, więc gubernium lwowskie odniosło się do hrabiego

[1] Ukraińsko-ruskij Archiw. Tom III.: Materijały i zamitki do istorji nacionalnoho widrodżennja halickoj Rusi w 1830 ta 1840 r. — Zibraw i pojaśniw Michajło Terszakowieć. Lwów 1907. Wydawca korzystał z części archiwum wiedeńskiego ministerstwa spraw wewnętrznych, a mianowicie z „Polizei-Archiv". Dokumenty podaje w oryginale, a więc w języku niemieckim — parę tylko alegatów przytacza w tekście polskim.

Sedlnickiego prezydenta cenzury w Wiedniu *(Zensur und Polizei-Hof-Stelle)*, aby coś na to poradził. Do tej pory od r. 1815 w czystem ruskiem narzeczu *(in der rein russinischen Mundart)* wyszedł tylko jakiś spis nazwisk, katechizm i czytanka *(Lehrbuch)*, które cenzurował ruski konsystorz metropolitalny. Ale obecnie jest już gramatyka, a za nią zapewne pójdą inne książki ruskie.

A skąd tu wziąć cenzora? Wprawdzie lwowski urząd cenzury *(Bücherrevisionsamt)* przedstawił prezydentowi gubernjum Kriegowi trzy „indywidua" (między innymi Dyonizego Zubrzyckiego) [1], ale Krieg uznał, że żadne z nich do tego interesu *(zu dem fräglichem Geschafte)* nie posiada odpowiednich naukowych kwalifikacyi. Ze swojej strony polecał Krieg Mikołaja Michalewicza, profesora języka i literatury polskiej na uniwersytecie lwowskim i redaktora pisma polskiego *(Gazety lwowskiej)*, który był z urodzenia Rusinem *(ein geborener Russen)*, znał doskonale ruskie narzecze i starosłowiański język kościelny; co więcej, był to człowiek „solidnych zasad", który w najcięższych czasach nie dawał powodu do podejrzeń; prócz niego mógłby w ostateczności być jeszcze wzięty pod uwagę Jan Bortnik, tłómacz ruskiego języka przy gubernjum. W rok blizko po liście Kriega Sedlnickij przesłał wszystkich pięciu kandydatów do oceny słynnemu dyrektorowi policyi lwowskiej Sacher-Masochowi, żądając, aby przedstawił ich kwalifikacye naukowe i zasady polityczne. Odpowiedź Sachera brzmiała, że z pomiędzy pięciu proponowanych „indywiduów", jedynie odpowiednim na stanowisko cenzora byłby Michalewicz, jako człowiek wyższego wykształcenia i znawca języka ruskiego (tym razem język ten nazywał się: *ruthenische Sprache*), ale jak nema światła bez cienia, tak i Michalewicz ma swe „ale": niejasne stosunki domowe i pociąg do kieliszka. Ze swej strony Sacher proponował na stanowisko cenzora jednego z dwóch księży ruskich, Benedykta Lewickiego lub Onufrego Krynickiego, którzy byli u niego dobrze notowani.

Sprawa nominacyi cenzora ciągnęła się jeszcze długo, choć gramatyka Lewickiego opuściła prasę w r. 1833 — widocznie był dla niej *ad hoc* cenzor wyznaczony. Ale zaraz wkrótce, bo w r. 1834 przedstawił M. Szaszkiewicz cenzurze swoją „Zorję", zbiór pieśni ludowych, opowiadań popularnych, historycznych i t. d.; to już nie była gramatyka, z którą łatwo sobie było pod względem politycznym poradzić. Potrzeba ustanowienia cenzora okazała się konieczna. Na razie Sedlnicky oddał „Zorję" w opiekę wiedeńskiemu cenzorowi, znakomitemu slawiście, Bartłomiejowi Kopitarowi. Kopitar trzymał ją przez półtora roku i wydał o niej dwa „Berichty". W pierwszym, jako nawskróś lojalny Austryak, zastanawiał się, czy wogóle książkę w ruskim narzeczu napisaną można ogłosić drukiem. W Galicyi—pisał—jest 2 miliony Rusinów *(Russniaken)*, na Węgrzech milion, a 6 do 7 milionów Rusinów i to nieunitów zamieszkuje południową Rosyę. Uznając nową nieuprzywilejowaną dotychczas literaturę — dowodził dalej Kopitar — spotkamy się przedewszystkiem z niezadowoleniem Polaków, a co gorsza Wielkorosyan z Petersburga i Moskwy, w których rękach spoczywa rosyjska potęga państwowa, z natury rzeczy bowiem ta nowa literatura będzie się żywiła (wzmagala) kosztem literatury polskiej i wielkoruskiej [2]. Ztąd dla Austryi rodzi się pytanie, czy może i powinna ona okazywać przychylność dla tych Ruśniaków, kosztem literatury polskiej, a co ważniejsza literatury wielko-ruskiej. Następstwem byłoby wzniecenie duchowej opozycyi 6—7 milionów Rusinów rosyjskich przeciw rządowi petersburskiemu, ale jest więcej niż wątpliwą rzeczą, aby ci Rusini przyłączyli się do naszych trzech milionów. „Można dziesięć przeciw jednemu postawić, że Petersburg znajdzie wkrótce środek, aby raczej ich opozycyę przeciw Austryi skierować". Wreszcie referent zwraca uwagę, że nowo do literatury wprowadzone ruskie *(russniakische)* narzecze nie posiada słownika, którym w wątpliwych wypadkach możnaby się posługiwać, stąd więc jedynie miejscowy lwowski cenzor byłby odpowiedni do wydania swego sądu pod względem

[1] Dyonizy Zubrzycki (ur. 1777), agronom, potem historyk, był pełnomocnikiem Pinińskich i otrzymał od nich wieś w podarunku. Czuł się wtedy Polakiem i pisał po polsku. Później poczuł się Rusinem, a wreszcie, wszedłszy w stosunki z rosyjskimi uczonymi i instytucyami, zaczął pisać po rosyjsku i był jednym z pierwszych moskalofilów.

[2] Na boku w tem miejscu dodał Kopitar, że pomiędzy językami maloruskim a wielkoruskim zachodzi prawie ta sama różnica, co między czeskim a polskim *(fast so verschieden wie Böhmisch von Polnisch)*.

politycznym. W drugim „berychcie" Kopitar kładzie znowu nacisk na to, że pod względem politycznym miejscowemu cenzorowi łatwiej się zoryentować w stosunkach dwóch narodowości galicyjskich, niż wiedeńskiemu; radził więc „Zorję" dać do cenzury konsystorzowi unickiemu we Lwowie.

Dopiero w połowie r. 1835 cenzorem dla książek ruskich mianowany został Benedykt Lewicki, według ruskiego pisarza Makoweja ślepy zwolennik cerkiewnego (starosłowiańskiego) a wróg ludowego języka. „Zorja" nie ujrzała światła dziennego, a to jak twierdzi p. Terszakoweć za przyczyną metropolity Michała Lewickiego, który był z przekonania Polakiem, a względem rządu serwilistą, aż do obrzydzenia" [1].

W „berychtach" Kopitara zastanawia niepewność, jak nazywać Rusinów i język ruski; zastanawia tem więcej, że wszak był to znakomity slawista, pierwszorzędna powaga naukowa, mistrz i przyjaciel równie znakomitego Miklosicha. Raz pisze *Kleinrussen*, drugi raz *Russniaken*, a zna też i *Ruthenischen Herren*. Plącze się u niego „*russniakische*" lub „*kleinrussische Mundart*" (narzecze), chce mieć we Lwowie „*ruthenischen Cenzor*"; wspomina o „*russinische Volkslieder*", a podając tytuł „Zorji" mówi, że owo „*ruthenisches Werk*" pisane jest „*in der russsichen (!) Sprache*" [2].

Przechodzimy do innej sprawy. W Przemyślu w 1832 r. zawiązało się kółko młodzieży polskiej i ruskiej, do którego należeli gimnazyaliści i teolodzy Rusini. Z Polaków wchodzili do niego między innymi Kazimierz Józef Turowski, suplent gimnazyalny Bryk i t. d. Z Rusinów zaś: czterech Kmicikiewiczów, przyszły poeta Antoni Łużecki i t. d. Ponieważ łączyły ich wspólne dążności naukowe i „interesy polityczno-narodowe", przeto rozjechawszy się w różne strony, zawiązali ze sobą stałą korespondencyę. Dla lepszej wymiany myśli przysyłali listy na ręce jednego z towarzyszy, pozostałych w Przemyślu, którzy też w celu samokształcenia się utrzymywali małą biblioteczkę. Nazwali się żartobliwie „Towarzystwem uczonych", albo „senatem"; każdemu z członków dawano jakiś tytuł, najczęściej żartobliwy. Tę zbrodniczą organizacyę wykryto w kilka lat później. Nawet sam Sacher-Masoch nie mógł w niej dopatrzeć się czynu karygodnego, ale dla przykładu wyrok zapadł w r. 1837. Zapewne musiał być dla wszystkich łagodny, kiedy Kazimierz Turowski „restaurator historycznej Polski" (jak się wyraża ironicznie p. Terszakoweć) został skazany na 6 dni aresztu. O innych wyrokach nie wiemy. Przytaczamy ten fakt jedynie dlatego, aby wykazać, jak serdeczne stosunki panowały w tym czasie między młodzieżą ruską i polską.

Z kolei mamy już przed sobą „spisek" poważniejszy. Po r. 1831 zakwitło w Galicyi wolnomularstwo. Jeden z takich związków, nazywający się „Związkiem przyjaciół ludu" został zreorganizowany w r. 1833 przez Leona Wiśniowskiego i Adolfa Dawida. Zadaniem „Przyjaciół ludu" było budzić uczucia narodowe, szerzyć oświatę, wpływać na szlachtę, aby lud uwłaszczyła. Przyszła forma rządu wyzwolonej Polski miała być republikańską. Zachodziły różnice zapatrywań tylko co do stosunku do siebie części składowych przyszłej Rzplitej; jedna partya była za centralizacyą, druga za systemem federacyjnym. Do „Związku" tego przystąpił powieszony później przez rząd austryacki Teofil Wiśniowski, a 24. marca 1834 do grona jego przyjęto Franciszka Smolkę. Związek dzielił się na sekcye, należeli do niego zarówno Polacy jak i Rusini. Na czele sekcyi w seminaryum grecko-katolickiem stał kleryk ruski Jan Sielecki; prócz niego należeli do sekcyi Dezydery Hreczański, Michał Gadziński, Teodor Kulczycki, Sylwester Miejski, Michał Minczakiewicz, Jan Ochrymowicz, Michał Pokiński i Romuald Krzyżanowski.

Nowe koło „Przyjaciół ludu" założył w Przemyślu Henryk Bogdański. Na czele jego stanął kleryk ruski Józef Konstantynowicz, a między członkami spotykamy Rusinów: Jana Tałasiewicza, Su-

[1] Lewickiego nazywa J. Bartoszewicz w *Encyklopedyi Wielkiej Orgelbranda* „skromnym, zacnym i świątobliwym, mężem prawdziwie apostolskim". Pius IX. wyniósł go na kardynalstwo. Był to pierwszy po 400 latach kardynał obrządku greckiego.

[2] W „Materjałach" znajdujemy później w r. 1843 rozporządzenie namiestnika Galicyi arcyksięcia Ferdynanda, aby Rusinów nazywać stale *Ruthenen*. Stało się to na propozycyę metropolity Lewickiego, któremu za dużo było nazw: *Russen, Russniaken, Ruthenen, Russinen*, jakiemi były przepełnione nawet podręczniki szkolne. Mamy więc nazwę nadaną narodowi przez „rozporządzenie" namiestnika.

likowskiego, Trylowskiego i t. d. Szczegóły podaje Krajewski [1]).

W r. 1834 był jakiś proces z powodu wykrycia nielegalnej literatury w zakładzie im. Ossolińskich. O co szło, nie wiemy, ponieważ zbiór materyałów, tyczący się tego procesu, p. Terszakowiec dopiero dać obiecuje. Zaznacza tylko, że do procesu „dołączono inne sprawy". Poprzestaje na razie na wyliczeniu nazwisk tych, co byli do sprawy wmieszani. Spotykamy między nimi znanych nam: Turowskiego, Kmicikiewiczów, Bryka, a prócz tego Augusta Bielowskiego i Markiana Szaszkiewicza, a więc znowu Polaków i Rusinów.

Jednocześnie prawie odkryto w gimnazyum dominikańskiem we Lwowie „Tajne Towarzystwo starożytności galicyjskich", a to dzięki Jakóbowi Hierowskiemu, profesorowi teologii, który znalazł u swojego wychowanka, Józefa Kołaczkowskiego, piśmienne zaproszenie na posiedzenie tego Towarzystwa z podpisami 14 zwyczajnych i honorowych jego członków. Hierowski, Rusin, najwstrętniejszy sługus rządu austryackiego, poleciał z tym dokumentem do prefekta gimnazyum Weberasa, który zaalarmował natychmiast gubernium. Krieg kazał aresztować czterech członków Towarzystwa, a mianowicie prezesa Karola Szajnochę, jego zastępcę Franciszka Bartkiewicza, sekretarzy Antoniego Szaszkiewicza i Mikołaja Kocowskiego. Pokazało się, że Szajnocha porobił sobie wypisy z rozmaitych kronik o zamkach, twierdzach i innych zabytkach przeszłości, a chcąc je skatalogować i opisać, zaprosił do wspólnej pracy kilkudziesięciu kolegów. Przytem, aby zaprowadzić subordynacyę i ciągłość pracy, ułożył statut Towarzystwa. Pan Terszakowieć wylicza cały szereg jego członków, z czego widzimy, iż większość ich stanowiła młodzież ruska (Miron, Stachiw, Danilo Tawraszkiewicz, Hryć Bodnar, Iwan Lewicki i t. d.). Ponieważ Towarzystwo jeszcze się nie zawiązało, bo przed pierwszem jego posiedzeniem nastąpiły aresztowania, przeto trudno było zebrać materyał dla dochodzenia sądowego. A jednak, pomimo że nawet Sacher-Masoch nie uważał za potrzebne sprawy tej rozmazywać, Krieg przypisywał jej „wysokie polityczne znaczenie" i zdał ją w ręce... cesarza, który kazał wypuścić niebezpiecznych dla Austryi spiskowców [2]).

Widzimy dalej Rusinów koło 1836 r. w „porębach" (sekcjach) świeżo powstałego specyalnie „polskiego węglarstwa", do którego należeli Kazimierz Grocholski, Lucyan Siemieński i t. d. Jedną z tych „poręb" stanowili członkowie wspomnianej poprzednio sekcyi Związku Przyjaciół ludu. Po ustąpieniu Sieleckiego przewodniczył tej porębie Mikołaj Hordyński, prefekt ruskiego seminaryum, człowiek uczony, łagodny, powszechnie szanowany. Do dawnych członków przybyli nowi, jak Dymitr i Klemens Mochnaccy, Szuchiewicz, Słonecki i t. d. sami ruscy klerycy. Najgorliwszymi, najwięcej zapalonymi, a więc najbardziej marzącymi o polskiej republice, byli już znani nam Romuald Krzyżanowski i Dezydery Hreczański. Zapał ich był tak wielki, iż ostrożność kazała usunąć ostatniego z nich z „poręby" w obawie, aby związku nie naraził na wykrycie i prześladowanie.

„I Wiedeń, mówi p. Terszakowiec, nie uchronił się od polskiej propagandy. Polska młodzież przebywająca w nim na studyach, zajmowała się tak gorąco konspiracyami, jak i młodzież galicyjska". Teolodzy np. polscy przyciągali na swoją stronę teologów ruskich, z którymi żyli pod jednym dachem (nawiasem mówiąc był to dach... łaciński, bo i konwikt był łaciński — Rusini własnego nie mieli). Ale „nietolerancya" swoją (tak twierdzi pan Terszakowiec) wywołali reakcyę i obudzili wśród Rusinów „silniejszą świadomość narodową". Jakiego rodzaju to była „nietolerancya" widzimy z listu ruskiego teologa Michała Hierowskiego. „U nas w komitecie — pisał Hierowski do swego brata, znanego nam już denuncyanta prof. Jakóba Hierowskiego — co się teraz dzieje, nie działo się nigdy... Lachy utrzymują tutaj propagandę paryską, rewolucyjne zasady i schodzą się do komitetu różni cywiliści... Draby lachowskie radzą o politycznych rzeczach, różne zakazane książki przynoszą... wciąż krzyk, hałas na Cesarza... Cesarz i religia u nich nic nie znaczą". Te okropności straszną obawą przejmowały p. teologa i niektórych równie odważnych i dbałych o swą przyszłość Rusinów. To też kiedy Lachy zaproponowali składkę na książki polskie i ruskie „Pastoraliści ruscy" złapać się na to nie dali, „bo im (Lachom) nie chodziło o książki, ale o nasze imiona, by i Rusinów w biedę wwalić". Ten frazes wyjaśnia sprawę — tchórz i serwilista drżał o karyerę. Wyraźnie zresztą wspomina, że boi się, aby nie wyrzucono Rusinów z konwiktu. „Od tego czasu — pisze dalej — jak nie chcieliśmy naszych imion zapisać, żaden Lach do nas słowa nie mówi, tylko jak wilcy razem się schodzą i debatują". Tak wygląda owa „nietolerancya" p. Terszakowca, która była po prostu pogardą dla tchórzów. Ale jeszcze jedno „łajdactwo" Polaków. Teolog Ginilewicz chciał *Russinom* (tak pisze Hierowski) honor zrobić i zdać z języków *rigorosum*". Prosił przeto o osobną stancyę, co się podobno Lachom nie podobało. Więc „polska intryga" zrobiła swoje i dyrektor usunął Ginilewicza ze stancyi. „Zmartwieni" — pisze Hierowski — zbieramy się wszyscy, całe muzeum z Lachami i idziemy do dyrektora i prosimy..." Dyrektor nie chciał ze wszystkimi mówić — pozostali u niego jeden Lach i dwu Rusinów. Skończyło się na powróceniu stancyi Ginilewiczowi, choć go dyrektor uważał za „najnikczemniejszego z całego konwiktu", za „takiego teologa, jakiego przez 18 lat w konwikcie jeszcze nie miał".

Tak wygląda nietolerancya i intryga polska, która obudziła „silniejszą świadomość narodową" u Rusinów! (humorysta z p. Terszakowca!) Lachy byli tacy niegodziwi, że chodzili prosić za jakimś Rusinem, któremu dyrektor tak niezaszczytne wystawił świadectwo. Ale nie na tem koniec — po niegodziwości Lachów okazała się szlachetność Rusinów, wystąpiła na jaw „silniejsza świadomość narodowa". Pan prof. Hierowski, choć go brat prosił, „aby listu lada bądź komu nie pokazywał, a osobliwie..." [1]) — poleciał z nim natychmiast do Sacher-Masocha (szlachetne dusze zawsze ciągną do siebie) i rozpoczęły się rewizye, śledztwa, wykluczenia itd.— o czem bliższe szczegóły podaje Krajewski (str. 61). Odsyłając do niego ciekawych, przytaczam tylko tyle, że związek wiedeński noszący nazwę „Nowej Polski" założył medyk Bętkowski i że Rojewski, kapelan ambasady rosyjskiej, rozrzucał między młodzież ruską nasiona (zapewne srebrne) t. zw. moskalofilstwa. Dla charakterystyki stosunków dodajemy jeszcze, że list Hierowskiego, wykazujący prócz innych „zalet" autora, niesłychany brak inteligencyi (uczeń II klasy umiałby pisać lepiej, niż ten teolog), wyszedł z pod jego pióra w języku... polskim. Tak pisali do siebie *Russini*, wrogi Lachów, mający „świadomość narodową". Tak pisali, bo po rusku pisać nie umieli.

Streściłem zaledwie jedną szóstą „Materjałów" p. Terszakowca. Dalej tak szeroko z braku miejsca, streszczać mi trudno, trzebaby bowiem napisać całą rozprawę, zwłaszcza, że na każdym kroku cisnęłyby się pod pióro uwagi i dopełnienia z innych źródeł. Należy w części poprzestać na tem, co pisze sam p. Terszakowieć w przedmowie: „Widzimy (są jego słowa) w śledczych aresztach lwowskich i prowincyonalnych naszych seminarzystów, którzy za polską sprawę walczą lepiej, niż sami Polacy, z których jeden nawet Arbaszewski zdradził swoich towarzyszy Polaków i Rusinów [2]). W tym samym czasie widzimy, że już księża (popi) a nie seminarzyści, byli prześladowani za polską sprawę (afera popa Słoniewskiego). Naprzekór oświadczeniom łojalności ze strony metropolity i ruskiego duchowieństwa, znaleziono w grecko-kat. seminaryum broszurę, zapowiadającą obalenie tronu austryackiego i wybudowanie innego, polskiego. Nasi popi pokutują za grzechy młodości jeszcze po 1840 r. — dwaj z nich Minczakiewicz i Kulczycki dopiero w r. 1848 po odsiedzeniu kary na Szpielbergu zostali dopuszczeni do spełniania obowiązków duchownych [3]).

W przedmowie tej jeszcze poruszoną jest sprawa Kaspra Cięglewicza, Rusina z urodzenia, który agitował między ludem i „w formie listów tonem jezuicko-słodkawo-sentymentalnym, pisał instrukcye dla ludowych nauczycieli (ruskich)". Pan T. twierdzi, że ta propaganda nie przyniosła „spodziewanego rezultatu". Nieco inaczej rzecz wygląda w opowiadaniu Krajewskiego. Według niego Cięglewicz z Piotrem Kotkiewiczem poszli między lud, agitując przeważnie w powiatach żółkiewskim i złoczowskim, a zyskali sobie wśród niego taką sympatyę, że ukrywał ich wśród siebie przed „pogonią" Kriegów i Sacher-Masochów.

Ważne jest przyznanie p. Terszakowca o dobroczynnym wpływie polskich agitatorów na rozwój piśmiennictwa ruskiego.: „Ci sami polscy agitatorowie, z interesu, aby odciągnąć galicyjskich Rusinów od rusofilizmu rozpowiadali im ustnie i piśmiennie o ich jedności z rosyjskimi Ukraińcami. Za zasługę polskim agitatorom przypisać należy, że dla ujęcia sobie galicyjskich Ukraińców (? już wtedy byli?) zaczęli pisać po chłopsku, choć z wielką przymieszką polonizmów, przez co po prostu zmuszali (podkreślenie p. Terszakowca) samych zainteresowanych w tem Ukraińców pisać po ukraińsku. Z żalem trzeba wyznać, że garstka ludzi, która używała ukraińskiego języka, nie wytrzymała długo i prędko się rozbiła, zaraz po śmierci najwybitniejszego wśród nich M. Szaszkiewicza. Jedni z tej garstki zupełnie zamilkli, inni zrazu cicho, nieświadomo, a później już jawnie i całkiem świadomo podali rękę temu kółku ludzi, którzy sprawę połączenia plemion ruskich rozstrzygiwali inaczej, to jest moskalofilom". (C. d. n.)

Ze sekcyi ekonomicznej.

Dr K. J. R.

Bojkot towarów pruskich.

W dzisiejszym spisie podajemy dalszy szereg towarów z najrozmaitszych gałęzi przemysłu, które przeważnie sprowadza się z Prus, a które można zastąpić krajowymi albo innymi. Ponieważ są to przeważnie przedmioty, używane przez kobiety i wchodzące w zakres ich gospodarstwa, przeto dziś szczególnie zwracamy się do Pań, polecając spis ich uwadze:

Fortepiany. W każdym niemal domu, zwłaszcza gdzie są panienki, jest dzisiaj fortepian. W miarę jak dorastają i wychodzą za mąż, każda go do wyprawy dostaje. Ponieważ zaś jest to instrument drogi, bo kosztuje setki i tysiące koron, więc można się domyśleć, jakie ogromne sumy wydajemy rocznie na fortepiany.

Krajowej fabryki fortepianów dzisiaj niestety nie mamy, i musimy się posługiwać obcymi wyrobami, nie ma jednak najmniejszego powodu, aby się posługiwać niemieckimi. Być może, iż znakomity jakiś pianista musi kupić fortepian Böchsteina albo Blüthnera, bo mu go łatwiej dostać, niż francuskie, angielskie lub amerykańskie; prawda, że nie każdy może sprowadzić fortepian z Warszawy, bo cło niepomiernie wysokie, są jednak do zwykłego użytku doskonałe i wypróbowane fortepiany Petroffa w Pradze, Bösendorfera, Prokscha lub Wirtha w Wiedniu, po cenach umiarkowanych i odpowiadające zupełnie wymaganiom.

Mimo to coraz częściej spotyka się u nas liche wyroby drugorzędnych fabryk niemieckich, tanie, a czasem nawet i nie tanie, których jedyną zaletą, że są z zagranicy, bo np. aż z Drezna!

Skoro warszawscy muzycy obchodzą się zupełnie bez fortepianów pruskich, to i naszym panienkom mogą austryackie najzupełniej wystarczyć.

Z przykrością należy wspomnieć, że przed kilkunastu laty mieliśmy w Krakowie doskonałą fabrykę fortepianów Drozdowskiego. Fortepianów tych używa dotąd Konserwatoryum krakowskie i wszyscy muzycy chwalą je bardzo. A jednak fabryka upadła... dla braku poparcia. Jakie to smutne, jak to źle o nas świadczy. Kiedyż za przykładem Czechów lub Węgrów zrozumiemy doniosłość zasady: „Swój do swego!"

Maszyny do szycia. Dziś nie ma chyba domu, w którym nie byłoby maszyny do szycia. W każdej rodzinie stała się ona niezbędnym sprzętem domowym. Ze względu na to jej rozpowszechnienie, na olbrzymie sumy, jakie za nią rokrocznie z kraju wychodzą, poświęcimy kiedyś maszynie do szycia obszerniejsze uwagi.

[1]) Krajewski: Tajne związki, str. 22, 23.

[2]) O innej sprawie Szajnochy podaje wiadomość Bol. Łoziński w Bibliotece warszawskiej 1908 IV.

[1]) W tem miejscu p. Terszakowiec nagle list urywa. Daje to dużo do myślenia. Musiały tam być słowa nie idące na rękę p. Terszakowcowi i Rusinom.

[2]) Sprawa to najważniejsza, to też obszerne podaje do niej materyały p. Terszakowiec. Należy porównać z tem co o niej pisze Krajewski. Przychodzą w niej znane nam już nazwiska. Ciągnęła się ona długo i skończyła się ciężkiem zasądzeniem „winnych".

[3]) Z Krajewskiego wiemy, że w r. 1840 skazani zostali za polską rewolucyjną propagandę i wywiezieni do Spielbergu następujący księża ruscy: Kulczycki, Gadziński (obaj skazani na rok), Miejski, Ochrymowicz i Pokiński (na dwa lata), Minczakiewicz (3 lata) i Krzyżanowski (4 lata). Wszyscy oni byli członkami „Sarmacyi" — żaden z nich jednak nie wydał innych członków Towarzystwa. Zdradził ich ów „najgorliwszy" Hreczański. Krajewski zdradę tę przypisuje rozstrojowi umysłowemu.

Dziś chcemy tylko w krótkości zaznaczyć, że prawie wszystkie maszyny, jakie się w polskich domach i pracowniach widuje, są pochodzenia pruskiego.

Dostarcza ich przeważnie hamburska firma Singer & Co. dawniej G. Neidlinger, łudząc odbiorców, że jej maszyny są pochodzenia amerykańskiego.

Prócz niej dostarczają Galicyi maszyn do szycia następujące firmy niemieckie:

„Dürkopp“ w Bielefeld, „Pfaff“ i „Kayser“ w Kaiserlautern, „Wertheim“ w Frankfurcie, „Haid & Neu“ w Karlsruhe, „Clemens Müller“ w Dreźnie, „Stoewer“ w Szczecinie, „Schirmer“ w Berlinie i inne.

Jeśli się zważy, że sama firma „Singer & Co“ wyciąga z Galicyi przeszło 2,000.000 kor. rocznie, zrozumie się, jaki haracz płacimy dobrowolnie naszym wrogom.

Zamiast maszyn pruskich należy kupować równie dobre, często lepsze, a wcale nie droższe, wiedeńskie, firmy „Greger & Co“ lub „Rast & Gassner“, doskonałe do haftu, lub szwajcarskie, firmy „Helvetia“ w Lucernie.

Krakowska firma R. Pawłowski nawiązała także w ostatnich czasach stosunki z fabrykami amerykańskiemi.

Walizy, torby podróżne itd. W lecie podróżuje się więcej, wyjeżdża się na wieś, do kąpiel, więc przedewszystkiem potrzeba kufrów, walizek i t. p. przyborów. Idzie się więc do pierwszego lepszego sklepu i kupuje się albo porządne ale bardzo kosztowne wyroby angielskie, albo tanią ale strasznie lichą tandetę niemiecką. Mamy w kraju tylu rymarzy, którzy wyrabiają droższe nieco niż fabryczne, ale znacznie staranniej wykonane kufry, walizki, torby podróżne.

Wykwintne przedmioty, wchodzące w ten dział, zastosowane do wszelkich potrzeb i wymagań, wyrabia Stanisław Krause w Warszawie, Królewska 1.

Kto potrzebuje tańszej walizki, zrobi lepiej, kupując w Bazarze krajowym lekki, ładny i bardzo praktyczny **kosz podróżny**, a nie pruską tekturową walizkę, którą pierwszy deszcz rozmoczy.

Torebki ręczne, sakiewki itp. drobniejsze wyroby skórkowe, sprowadzane dotąd przeważnie z Prus, można zastąpić wiedeńskiemi.

Kapelusze słomkowe, sprzedawane po naszych sklepach, są przeważnie pruskie.

Istnieje w Mengszu (Mannsburg) w Krainie fabryka słomkowych kapeluszy damskich, męskich i dziecięcych „Slamnikarska zadruga w Mengšu na Kranjskem“. Stowarzyszenie to przysłało „Straży polskiej“ ilustrowany cennik swych wyrobów, z którego okazuje się, że posiada wielki wybór kapeluszy rożnego rodzaju. Poszukuje zastępców i agentów dla wszystkich dzielnic Polski, pragnie nawiązać stosunki z nami, aby wspólnie walczyć przeciw nawale germańskiej.

Należałoby im udzielić poparcia.

Loeflunda cukierki słodowe należy zastąpić krajowymi cukierkami słodowymi, wyrabianymi przez wszystkie większe cukiernie.

Z okazyi słodyczy, trzeba naszym Paniom powiedzieć gorzką prawdę o **czekoladzie i kakao**. Kakao nie jest produktem niemieckim, ani czekolada niemieckim wynalazkiem i nic nie przemawia za sprowadzaniem tych artykułów z Niemiec. Czekoladę wyrabia kilka fabryk w Galicyi (trzy w samym Krakowie), wyborne są czekolady warszawskie, głośne są czekolady francuskie i szwajcarskie, należy więc usunąć wyroby niemieckie, którymi przepełnione są nasze sklepy i cukiernie.

Z wycieczki na Śląsk.

(Wycieczka „Zjednoczenia“ — 28. i 29. czerwca).

Wyjechało nas około 80 osób akademickiej braci ze wszystkich trzech zaborów. Na stacyi w Dziedzicach zobaczyliśmy naszych „najserdeczniejszych“, urzędników pruskiej komory celnej z bismarkowskiemi fajkami w ustach. Nie długo jednak cieszyliśmy się ich widokiem. Za chwilę uniósł nas pociąg do Bielska. Tutaj z powodu złego połączenia pociągów nastąpiła dłuższa przerwa. Rada w radę, poszliśmy do miasta, śpiewając pieśni narodowe. Na rynku odśpiewaliśmy „Z dymem pożarów“. Święto, niedziela, więc ludu było dużo, pozdejmowano czapki i śpiewano z nami razem. Naraz otwierają się okna, podnoszą się jakieś okrzyki, wreszcie wrzask i tysiące przekleństw: „polnische Hunde, Revolution, verfluchte Polacken“ i wszelkie inne „Donnerwettery“. Tak przywitali nas kulturalni niemcy. Jakiś nalany piwem Teuton, wprost wylewający się z okna, prawił siarczyste kazanie, wyrzucał jakieś przedmioty, wymachiwał fajką i w przeciągu minuty wykrztusił kilkanaście dosadnych wyrażeń. Na nieszczęście biedak ochrypł i zaczął zrywać ze złości kawałki gzymsu. Otoczyły nas tłumy niemców i niemek, zjawiła się i policya. Komisarz zawyrokował z patosem „Im Namen des Gesetzes es ist verboten hier polnisch zu singen“, poczem zagroził aresztowaniem. On mówił po niemiecku, my po polsku. Długo nie mogliśmy się porozumieć. Wreszcie wzmianka o „Kole polskiem“ i o telegramie do prezesa Koła, Głąbińskiego wywarła magiczny skutek. Pan komisarz i policyanci zaczęli władać językiem polskim i wypierać się zakazu śpiewania po polsku. Zapytany o nazwisko oznajmił komisarz, że się nazywa: Polizeiführer.(!) — Był to bardzo miły, ale nie potrzebnie awanturujący się staruszek. — Pochodem przez miasto wróciliśmy na stacyę w towarzystwie pana komisarza, jego pomocników i niemieckiej gawiedzi. Urzędnik telegraficzny nie chciał przyjąć wystylizowanego w polskim języku zawiadomienia do prezesa Głąbińskiego. Wobec tego załatwiliśmy to dopiero w Cieszynie.

W Cieszynie przyjęto nas w „Domu Narodowym“. W pięknej sali koncertowej zasiadło do stołu z górą dwieście osób, bo prócz „Zjednoczenia“ brało udział w obiedzie stowarzyszenie kat. młodzieży robotniczej, które właśnie w tym dniu obchodziło uroczystość poświęcenia związkowego sztandaru. My właściwie byliśmy przypadkowymi gośćmi. I ich i nas witał ks. poseł Londzin, redaktor Zabawski, odpowiadali nasi przedstawiciele Winiarski, Bohuszewicz, Sikora, mówili robotnicy, posypały się toasty i zdrowia, zakończono pieśniami.

Po obiedzie wyszliśmy wszyscy pochodem na zabawę do parku „na Grabinach“. Pochód liczył około 300 osób, w tem kilkadziesiąt kobiet (słuchaczek uniwersytetu i ślązaczek). Droga prowadziła przez ulicę „Głęboką“, przy której znajduje się dom „Nordmarku“, „Deutsches Haus“. Tutaj oczekiwały nas falangi niemców, uzbrojonych w kamienie, boksery, drągi, petardy. Wobec niebezpieczeństwa przerwania pochodu, wysunęło się na czoło „Zjednoczenie“. Zdala wśród tłumu świeciły się pięknie „pikelhauby“ policyantów, okna przepełnione płcią piękną, młodą i starą, laski sterczące nad głowami mas — wszystko to oznaczało, że będziemy przyjęci owacyjnie. I nie zawiedliśmy się.

Z pieśnią „Jeszcze polska nie zginęła“ wkroczyliśmy na ul. „Głęboką“. Powitał nas niesłychany ryk i grad rozmaitych pocisków. Z okien i bram leciały kamienie i zgniłe jaja, lały się strumieniami nieczystości, padały strzały rewolwerowe, odłamki żelaza i wybuchały z ogromnym hukiem obrzydliwej woni petardy. Z okna kamienicy „Nordmarku“ rzuciła jakaś niemka bombę. Ta roztrzaskując się rozerwała dłoń polskiemu robotnikowi, drugiemu oszpeciła twarz i poraniła konia, na którym jechał przewodnik pochodu. Mimo takiego przyjęcia ruszyliśmy dalej, za nami muzyka i młodzież robotnicza. Niemcy jednak nie dali za wygraną. Widząc, że nie da im się rozbić pochodu, pobiegli tłumem do wylotu ulicy, prowadzącej ku Saskiej Kępie. Obsadzili przejście i z wyciem „Wacht am Rhein“ chcieli się na nas ponownie rzucić. Gdyśmy już blisko byli krytycznego miejsca, jeden z nas podniósł do góry laskę na znak, że mamy śpiewać. Niemcy zaczęli pędem uciekać, rzucając znowu kamieniami, kawałkami metali, petardami i lejąc na nas rozcieńczoną jajecznicę. Tu padł ugodzony w głowę kamieniem sekretarz „Macierzy śląskiej“ p. Marcinek.

Wreszcie dotarliśmy do parku na „Grabinach“. Rzadko który z nas nie był poraniony, lub powalany „nieświeżym“ nabiałem. Jednemu przestrzelono obie ręce, poseł ks. Londzin został zraniony kamieniem. Ogółem 20 osób poranionych.

Wieczorem tego samego dnia znowu zaczęły się orgie. Kilkudziesięciu niemców napadło z kijami na profesora polskiego gimnazyum p. Jawienia. P. Jawień bronił się laską. To rozwścieczyło pruskich bandytów. Wyrwali w końcu p. Jawieniowi laskę, przewrócili go na ziemię i niemiłosiernie zmasakrowali. Oblany krwią, z siedmiu ciężkiemi ranami na głowie byłby może przypłacił życiem, gdyby nie przypadkowe zjawienie się kilku naszych akademików, przed którymi bohaterzy niemieccy uciekli. Zemdlonego p. Jawienia odniesiono do „Domu Narodowego“. W „Domu Narodowym“ wybili niemcy szyby, mnóstwo pojedynczo wracających z parku osób pokaleczono i pobito.

Napad cały był uplanowany, niemcy wydali hasło, jak się później okazało „Deutsches Haus, alle heraus, sammeln sich 2 Uhr“. W napadzie brały udział wszystkie warstwy ludności niemieckiej: „inteligencya“, kupcy, sklepikarze, robotnicy, seminarzyści, gimnazyaliści — i mężczyzni i kobiety, nawet dzieci szkolne. Specyalnością kobiet niemieckich było plucie, rzucanie petard i jaj.

Policya cieszyńska zachowywała się prowokująco ironicznie względem napadanych Polaków. Starosta cieszyński, Jiraszek, uprzedzony o zamiarach niemców, wyjechał sobie na dzień 28. automobilem z miasta. Zbrodniczemu napadowi na prof. Jawienia, przyglądał się z drwiącym uśmiechem żołnierz policyjny, — słowem władze miejskie i polityczne brały pośrednio udział w bandycko-hakatystycznych orgiach. Widziano kierownika policyi cieszyńskiej rozmawiającego z przywódcami napadu. Jednymi z głównych przywódców byli urzędnicy komory arcyks. Fryderyka w Cieszynie.

Na drugi dzień powtórzyły się awantury. Do budynku gimnazyum polskiego rzucono petardę. Ludność polską wyjęto z pod opieki prawa, w mieście przez dwa dni panowała zupełna anarchia. Polacy tutejsi będą musieli chwycić się energicznie samoobrony.

Kaz. Wł. Bart....

Głosy członków „Straży Polskiej“.

I.

W roku 1906 ministerstwo skarbu wydało rozporządzenie do krajowej władzy skarbowej we Lwowie, aby władze i urzędy w przyszłości, pisząc po niemiecku, używały nazw czysto polskich, jak: Kraków (nie Krakau), Lwów (nie Lemberg), Żywiec (nie Seybusch), Stanisławów (nie Stanislau), Nowy Sącz (nie Neu Sandez) itd.

Na tej podstawie c. k. kraj. Dyrekcya skarbu we Lwowie wydała do wszystkich władz i urzędów okólnik z dnia 25/11 1906 l. 6948 w duchu i myśli minist skarbu. Prawdopodobnie uczyniły to samo i inne ministerstwa, jak: handlu, oświaty, kolei, rolnictwa i spraw wewnętrznych.

Czy wszystkie jednak władze i urzędy przestrzegają ściśle owych rozporządzeń? Nie! Najlepszym dowodem są używane nadal przez wszystkie urzędy i władze pieczęcie niemieckie z nazwami niemieckiemi, jak również wydane najnowsze rozporządzenia w języku niemieckim.

Kpią wszyscy z przytoczonego okólnika, począwszy od ministerstw, które mimo, że same wydały owo tak ważne rozporządzenie — używają dalej nazw niemieckich.

Na dworcu kolejowym w Krakowie dotychczas nie usunięto tablic z napisami: „gegen Lemberg“, „Lemberg—Wien“, „Oderberg—Lemberg“ itd. Dalej na rozkładach ruchu pociągów widnieją w całej pełni nazwy niemieckie.

Dzieje się to w Galicyi, w kraju polskim, gdzie urzędują Polacy!

Społeczeństwo polskie śpi, nie poczuwa się do obowiązku korzystania z tego co nam obcy dają.

Prosimy zatem wszystkich władz i urzędów, aby jak najrychlej zastosowały się do wydanego rozporządzenia, w przeciwnym razie będziemy zmuszeni piętnować publicznie tych, którzy usuwają się od obowiązku narodowego. Prosimy także cały ogół a przedewszystkiem kupców, aby w korespondencyach z zagranicą używali li tylko nazw polskich, jak przystało na społeczeństwo swych praw świadome.

K.

II.

Śmiem zwrócić uwagę Szanownej Redakcyi na następujące fakta, które muszą razić myślących po polsku i nie powinny być tolerowane:

1) Są w naszym kraju lekarze, którzy lubią przepisywać pacyentom środki lecznicze, wyrabiane w pruskich fabrykach. Jeden z doktorów medycyny w Krakowie powiedział do mnie nawet, że dla patryotyzmu nie myśli używać gorszych, krajowych wyrobów, choćby nawet kosmetycznych. Prawdopodobnie pochodzi to stąd, że bardzo wielu naszych przedstawicieli umiejętności fachowych nie może się dotychczas pozbyć bałwochwalczego lub bezmyślnego hołdowania niemieckiej, a zwłaszcza pruskiej nauce, pod wpływem której kształcili się. Czyż tylko z niemieckich dzieł, czasopism i reklam mamy czerpać mądrość? Czy francuskie lub inne wyroby, jeżeli nie ma naszych w pewnym rodzaju, nie mogą zastąpić niemieckich i czy nawet nie są od nich lepsze? Ale my jesteśmy opanowani przez Niemców na wszystkich polach życia, nietylko ekonomicznego, przemysłowego, handlowego itd., lecz i naukowego, a nawet duchowego.

2) Niepojęta jest tolerancya ze strony społeczeństwa dla aptekarzy i właścicieli składów apte-

cznych („droguistów“), którzy wciskają publiczności reklamy przysyłane im przez pruskie fabryki i posługują się wyłącznie temi ad hoc sporządzonemi reklamami do owijania pakiecików, flaszek itp. podawanych publiczności. Są nawet używane koperty na recepty, zadrukowane reklamami wyłącznie pruskich wytworów. Najnatrętniej w ten sposób reklamowany jest berliński wyrób „Sanatogen“.

3) W „letniej stolicy Polski“, Zakopanem, stoi na Krupówkach, wprost kościoła parafialnego, automatyczna waga osobowa, oczywiście niemiecka, — ale do tego stopnia niemiecka, że wszystkie nagłówki i objaśnienia, a jest ich tam bez miary, są wykonane **wyłącznie** w języku niemieckim! Jak można było dać pozwolenie na umieszczenie takiej wagi w ulicach Zakopanego (być może, iż takich wag jest tu więcej), zwłaszcza, że w innych miejscowościach widzi się wagi podobne, zaopatrzone w polskie i niemieckie napisy? Jak publiczność może cierpieć podobne rzeczy w Zakopanem? Niezrozumiałe.

Zakopane. *S.*

Rozmaitości.

Hakatyści w Warszawie. Zebranie ogólne warszawskiego zboru ewangelicko-augsburskiego odsłoniło i ujawniło fakt charakterystyczny, że posiadamy w Warszawie wcale spore grono szowinistów Niemców, przez nas samych, wyhodowane, którzy w zacietrzewieniu swem radziby i na naszych śmieciach rządzić się jak we własnym „*Vaterlandzie*“ i wybrali do tego — jak im się zdawało najpodatniejsze — pole spraw wyznaniowych.

Już od zagajenia zebrania przez prezesa kollegium, jenerała Wilhelma, owi „patryoci“ niemieccy zażądali tłumaczenia im wszystkiego, co mówiono po polsku, na język niemiecki, ale w połowie obrad znudziło im się to widocznie i odrazu — zaczęli rozumieć po polsku!

Po krótkich rozprawach zabrał głos po niemiecku przywódca — jak się okazało — opozycyi w łonie zboru, uważanej przez nią samą za „patryotyczną“, p. Karol Lampe.

Mówca niemiecki, nie licząc się z tem, że przez wielu uczestników zebrania nie był zrozumiany, wygłosił filipikę, pouczając o obowiązku pilnego pamiętania o tem, że ewangelicy warszawscy pochodzą z „*Vaterlandu*“.

Największe jednak wzburzenie wywołały w zgromadzeniu wnioski, podpisane przez 72 Niemców-ewangelików, których część tu podajemy jako wysoce charakterystyczną i odsłaniającą jawną nietolerancyę wyznania rzymsko-katolickiego, równoznaczną z nienawiścią polskości.

Wnioski te brzmiały:

a) Osoby, których żony są wyznania rzymsko-katolickiego, nie mogą być członkami kollegium kościelnego i komitetu zborowego;

b) Ponieważ ogólne zebrania zboru bywają oznaczane na dzień powszedni, w którym większa część zborowników z powodu zajęć pozbawiona jest możności wzięcia w nich udziału, stawiania swych prawnych życzeń i wyjednywania zatwierdzenia ich, przeto dla usunięcia tej niedogodności należy § 12 regulaminu wewnętrznego zmienić w następujący sposób: „Ogólne zebranie zborowe winno być oznaczone na dzień Bożego Ciała, bez względu na to, czy święto powyższe wypada w miesiącu maju, czy też czerwcu“;

c) Lekcyi konfirmacyjnych pp. pastorowie udzielają w ten sposób, że niemieccy i polscy konfirmanci przybywają jednego dnia i o tej samej godzinie łącznie na lekcye. Ponieważ wykład w języku polskim poprzedza niemiecki, przeto dzieci, mówiące po niemiecku, siedzą bez żadnego zajęcia i marnują czas. Z tego powodu podlegający są zdania, że lekcye konfirmacyjne należy odbywać osobno dla dzieci mówiących po niemiecku i osobno dla dzieci mówiących po polsku.

Punkty 1 i 2, jako zawierające jawną prowokacyę pod adresem ludności polskiej katolickiej, komentarzy nie potrzebują.

Punkt 3 jest szykaną, wymierzoną przeciwko pastorom. Obecnie, podczas przygotowania do komunii św., pastorowie uczą osobno chłopców i dziewczynki. Wykład odbywa się po polsku, poczem treść jego dyktuje się po polsku i po niemiecku. Skarg na to dotychczas nie było, gdyż w ciągu ostatnich lat 10-ciu znalazło się tylko dwoje dzieci niemieckich, które nie rozumiały po polsku. Według żądania petentów, pastor musiałby powtarzać wykład nie dwa, lecz cztery razy, co byłoby prostem marnowaniem czasu.

P. Gustaw Martens przemówił pierwszy, żądając słusznie odrzucenia wniosku bez rozpraw, większość jednakże oświadczyła się za rozprawami. Wobec tego nad projektem tym zabrał głos pastor Machlejd, który w gorących słowach uwydatnił wysoką nietolerancyjność wniosku; przypomniał zażartym hakatystom chlubę kościoła protestanckiego, ś. p. czcigodnego pastora Ottona, urodzonego z matki katoliczki. Zaznaczył, że kollegium nie może podejmować się funkcyi policyjnych i rewidować paszportów swoich członków, ażeby sprawdzić, czy który nie ma katolików w rodzinie; wreszcie zaznaczył znamienną niekonsekwencyę petentów, którzy występują tylko przeciwko katoliczkom, nie mają zaś nic przeciwko temu, aby w kollegium zasiadali ludzie, żonaci z kobietami innych wyznań nie ewangelickich. Przecież sam prezes konsystorza ma w rodzinie prawosławnych, a nic to jakoś petentów nie razi.

Po kilku przemówieniach „pro“ i „contra“ wnioski znaczną większością zostały odrzucone.

Przegląd jeneralny. W Pabjanicach pod Łodzią odbył się trzydniowy zjazd niemieckich stowarzyszeń gimnastycznych, strzeleckich i śpiewaczych, zarówno z Łodzi, jak okolicy.

Zjazd rozpoczął się w sobotę. W dniu tym poczęli się zjeżdżać do Pabjanic członkowie Stowarzyszeń oraz zaproszeni goście. Przyjechało z górą 2.000 osób, które podejmował specyalnie utworzony w tym celu komitet. Z Łodzi przyjechały trzy stowarzyszenia gimnastyczne, mianowicie: „Jahn“, „Kraft“ i „Achilles“; oprócz nich brały udział w zjeździe stowarzyszenia gimnastyczne ze Zgierza, Aleksandrowa, Konstantynowa i Pabjanic, dalej sześć stowarzyszeń śpiewaczych, między niemi trzy kościelne, zarówno katolickie jak ewangelickie, oraz stowarzyszenie strzeleckie z Pabjanic. Był to niejako przegląd jeneralny sił niemieckich z Łodzi i okolicy.

Kulminacyjnym punktem trzydniowego zjazdu był pochód Stowarzyszeń przez miasto, urządzony w niedzielę. W pochodzie wzięło udział przeszło tysiąc osób. Członkowie stowarzyszeń gimnastycznych oraz strzeleckich byli w kostiumach z czarnemi krzyżami na piersiach; sztandarów niesiono siedm. Na czele pochodu maszerowała orkiestra Stowarzyszenia „Stela“, grając pieśni niemieckie. Przeciągnąwszy przez kilka ulic, pochód udał się do ogrodu w Górce Pabjanickiej, gdzie odbyły się najpierw ćwiczenia gimnastyczne, a potem zabawa. Naturalnie, komenda była „jednolita“ w języku niemieckim. Entuzyazm w ogrodzie panował niesłychany. Kioski z piwem, a poustawiano ich kilkadziesiąt, były w formalnem oblężeniu. Okrzyki: „Hoch!“ oraz bezustanne oklaski mieszały się z melodyami pieśni narodowych niemieckich, przygrywanemi przez dwie orkiestry.

Następnego dnia, w poniedziałek, odbyły się dalsze ćwiczenia oraz wspólny obiad, po którym uczestnicy zjazdu, pokrzepieni na duchu i ciele, zaczęli opuszczać Pabjanice.

Wśród licznych toastów, wygłoszonych na obiedzie, zasługuje na uwagę przemówienie jednego mowcy, który wyraził się, że tego rodzaju zjazdy są bardzo potrzebne, ponieważ budzą ducha wsród niemców, osiadłych w Królestwie, przyczyniają się do podtrzymania solidarności i bronią niemców od asymilacyi z polskiem społeczeństwem. Przemówienie to przyjęto hucznymi oklaskami.

Tak się bawią i organizują Niemcy na ziemi polskiej. Porównajmy z tem opis drobnej zeszłotygodniowej wycieczki polskiej do polskiego Cieszyna. Szkoda, że nie był na niej Bolesław Prus — mógłby podziwiać ...cywilizacyę „doskonalszego gatunku ludzi“ (Patrz fejleton: Pogadanka polemiczna).

Niemiecka bezczelność. W ostatnim zeszycie „Simplicissimusa“, tygodnika ilustrowanego, wydawanego w Monachium, znajduje się rysunek, przedstawiający mężczyznę w stroju węgierskim z czasów Zriny'ego o rysach twarzy Huna, który depce po trupach zaścielających niezmierną płaszczyznę. Olbrzymi chłop opiera się na szablicy z nadzianem na niej niemowlęciem. Nad rysunkiem napis: „die armen Polen“, u dołu: „wenn das so weiter gehet, werden uns die Preussen so behandeln, wie wir die Ruthenen“.

Rysownik skłamał niecnie. Pomijając, że bajka nikczemną jest, abyśmy mordowali Rusinów, (chyba, że Potocki był Rusinem a Siczyński Polakiem), wogóle nawet dzieje wojen, prowadzonych przez Polskę, nie podają faktów znęcania się nad pobitymi. Wystarczy natomiast przypomnieć wojnę francusko-niemiecką w r. 1870/1. Niemcy palili wówczas francuskie miasteczka i sioła, wysyłali łupy wagonami do ojczyzny, a za wolnych strzelców, którzy szarpali drobniejsze oddziały niemieckie, roz-trzeliwali starców, kapłanów, ludzi niewinnych.

Raczej wypadało rysownikowi w miejsce karnawałowego Polaka, wylęgłego w fantazyi podbiczowanej ciężkiem piwem bawarskiem, narysować kozaka siczowego w watahach Gonty, Żeleźniaka, Chmiela. Wtedy nie minąłby się z prawdą. Kozactwo rzezało, co mu się dostało w ręce, brało na spisy niemowlęta. Nie piszemy tego na wiatr. „W czasie oblężenia Lwowa przez Chmielnickiego, kozactwo nie szanujące ani własnej religii, ani krwi ruskiej, zająwszy cerkiew św. Jura, przypalali ihumna, aby podał kędy schował pieniądze. Ihumen w mękach zawołał: „Hej probuch chrestyany!“ a kozacy na to z uśmiechem: „Bateńku, nechoczym twoji wiry, łysze ditkych hroszi!“ (Zimorowicz).

„Simplicissimus“ naturalnie znajduje sie w każdej naszej kawiarni i w patryotycznych ...resursach.

Hakata w kościele. W pracy nad usunięciem polskości z kościoła nie ustaje Hakata. W Berlinie w parafii św. Piusa zaprowadził dawniejszy proboszcz ks. Frank zwyczaj, że w dzień Bożego Ciała odbywała się procesya dla Niemców a w następną niedzielę dla Polaków. W bieżącym roku administrator ks. Rust skasował ten zwyczaj, oświadczając Polakom, że polskiej procesyi nie będzie, bo **nie otrzymał na to pozwolenia**(!).

Dziennik berliński stwierdza, że tego pozwolenia wcale nie było potrzeba.

Ziemia lubelska donosi: „W Udryczach zbudowano kapliczkę i miano śpiewać pieśni majowe, policya zabroniła tego. W innych wioskach również kozacy lud, gromadzący się pod figurami na pobożne śpiewy majowe, porozpędzali“.

Bojkot polaków. W *Słowie polskiem* czytamy: Jak tylko ukazały się w handlu towary wyrobu galicyjskiego, Rusini zaczęli ze wszystkich sił bojkotować kiełkujący nasz przemysł. Powszechnie znane są przypadki, gdzie zajadły ukrainiec za pudełkiem zapałek będzie biegał od sklepu do sklepu, aż natrafi na wyrób wiedeński. Co prawda, nie zmęczy się zbytnio tem bieganiem, bo u nas o zapałki niemieckie nietrudno. A ołówki Majewskiego, dzięki redakcyi *Diła*, przeszły już do martyrologii narodu „ukraińskiego“. Każda kronika jest zapełniona temi ołówkami, a właściwie narzekaniem na ich kupowanie przez ruską młodzież szkolną. Obecnie niejaki p. Czajkowski nawołuje w *Dile* cały „naród ukraiński“ do bojkotu ekonomicznego Polaków na całej linii. Do tego celu ma służyć organizacya, którąby zmusiła wszystkich Rusinów do akcyi solidarnej w tym kierunku. Nie wolno Rusinowi udawać się do adwokata polskiego, lekarza polskiego, szewca, krawca i t. d.; nie wolno nic kupić w firmie polskiej, lecz owszem starać się o podkopanie jej egzystencyi. Komitety cerkiewne nie powinny oddać żadnej budowy do rąk przedsiębiorcy polskiego. Jeżeli kto wyłamie się z pod solidarności, ten publicznie we wszystkich gazetach ukraińskich będzie piętnowany jako „chruń“ (to znaczy św....). W tym celu po dziennikach umyślnie zaprowadzona będzie rubryka p. n. „Hańba“. Wszystko to powinno się robić nie pod hasłem wyraźnego bojkotu Polaków, lecz pod hasłem „Swój do swojego“, aby nie wzbudzić czujności ze strony społeczeństwa polskiego.

O wyższą uczelnię w Wilnie. W sali klubu Szlacheckiego w Wilnie odbyło się pierwsze zebranie komisyi w sprawie wyższej uczelni w Wilnie. Komisyę tę, jak wiadomo, zorganizowała Rada miejska miasta Wilna. Na pierwsze posiedzenie przybyło 60 osób. Przewodniczył prezydent miasta, p. Michał Węsławski.

Prezydent zakomunikował, że rząd obecny zgadza się na powstanie takiego zakładu w Wilnie, i że nie jest zasadniczo przeciwnym założeniu w Wilnie uniwersytetu. Według informacyi p. prezydenta, prezes ministrów p. Stołypin poleca komisyi wileńskiej w sprawie wyższego zakładu, ażeby zajęła się tylko opracowaniem projektu najbardziej pożądanego typu wyższej uczelni, bez rozważania kwestyi skąd i jaką drogą uzyskać niezbędne środki.

Wyróżniło się przemówienie p. Sobolewa, który oświadczył się za utworzeniem zakładu naukowego nowego typu. Zakład taki ma nie być ani uniwersytetem, ani politechniką w szablonowem znaczeniu tych wyrazów, lecz zakładem naukowym „mieszanym“, czemś pośredniem pomiędzy uniwersytetem i politechniką, zakładem przystosowanym przedewszystkiem do potrzeb ludności miejscowej. Projekt p. Sobolewa ogólnie się podobał.

Następnie p. Wacław Studnicki powiedział, że jego zdaniem nie ulega wątpliwości, iż ogół życzy sobie uniwersytetu, ale rezygnuje, w danej chwili politycznej, z tych pragnień, ponieważ wie, czem był uniwersytet warszawski, i takiego uniwersytetu ani takich profesorów, jak warszawscy, mieć nie chce.

W ostateczności postanowiono utworzyć trzy podkomisye: uniwersytecką, politechniczną i mieszaną.

Przeciw językowi ukraińskiemu. W tych dniach odbyło się w Kijowie, pod przewodnictwem cenzora S. A. Sidorowa, walne zgromadzenie członków „klubu nacyonalistów“, na którem omawiano zgłoszony do Dumy projekt prawa o wprowadzeniu w szkołach na Rusi nauczania w języku ukraińskim.

Klub kijowski opracował w tej kwestyi memoryał, w którym najgoręcej protestuje przeciw projektowi 37-miu posłów do Dumy. Memoryał zaprzecza głównemu argumentowi autorów projektu, którzy twierdzą, że „ukraińcy“ nie rozumieją po rosyjsku, wobec czego nauka w tym języku jest dla nich wielce utrudniona. Memoryał twierdzi, że jest wręcz przeciwnie i że „ukraińcy“ nie pojmują całkiem sztucznego „języka żargonowego,“ który, jak twierdzi memoryał, ukuty jest w Galicyi przez pp. Hruszewskich. Dalej memoryał wykazuje, że projekt ten nie dąży do celów pedagogicznych, lecz czysto politycznych, będąc odbiciem programu „ukrainofilów-separatystów“, którzy idą ręka w rękę z wrogami narodu rosyjskiego i całej Słowiańszczyzny.

Prof. T. Florinskij zgadzał się całkowicie z argumentami memoryału, lecz uważał za konieczne poczynić w nim niejakie zmiany. W projekcie 37-miu posłów powiedziane jest, że nauczanie języka rosyjskiego w szkołach małorosyjskich powinno być zachowane, jako „lekcya języka państwowego“. Zdaniem prof. Florinskiego jest to absurd. Język rosyjski jest językiem „państwowym“ dla Polaków, Gruzinów, Ormian, Tatarów i t. d. lecz dla Małorusów jest to język rodzimy.

Przeciw wprowadzeniu do szkół języka ukraińskiego przemawiał jeszcze cały szereg mówców.

Walne zgromadzenie klubu, po ukończeniu dyskusyi, poleciło prof. Florinskiemu zredagowanie rezolucyi, której zasadnicze punkty zostały przyjęte.

A no, przenieście się tam panowie Ukraińcy!

KĄCIK JĘZYKOWY.

I.

Wielmożny kąciku!

„Wielmożnym“ jesteś, skoro odbierasz listy od tego z tych, którzy mówią i piszą po polsku lepiej od wszystkich.

„Wielmożnym“ będziesz i zdziałasz wiele dobrego, jeśli jego listami jak najczęściej pozwolisz cieszyć się czytelnikom *Straży Polskiej*.

Jedno tylko „ale“ w tem dobrem i pożytecznem: kto poważy się pisać do Ciebie skoro tak „Wielmożnym“ jesteś; kto poważy się wytykać błędy, skoro ... wszyscy ciężko i uczyć się, a nie uczyć nam wypada.

Dziwię się sam swej odwadze, że piszę do Ciebie, lecz chcę prosić o pomoc i radę w dobrej sprawie — spodziewam się więc przebaczenia.

Kąciku! „Wielmożny“ jesteś — spraw zatem, by pisma nasze zwróciły uwagę na swe działy ogłoszeń, by poddały je korekcie i nie pozwalały, aby w ogłoszeniach tak strasznie pastwiono się nad naszym językiem!

Chcesz przykładów może? owszem — oto biorę do ręki jeden egzemplarz pisma codziennego, wychodzącego we Lwowie, i cytuję dosłownie:

1. „Inteligentna młoda osoba szuka do samoistnego zarządu domem w miasteczku“.
2. „Poszukuję zdolnych czeladzi stolarskich budowlanych“.
3. „Poszukuję dużą i dobrą lodownię“.
4. „Poszukuję dziewczynę od 14 do 16 lat“.
5. „Schtreifwagen do sprzedania“.
6. „. . . . . pawilony . . . . . w których to pawilonach odbywać się będzie podawanie zimnych i ciepłych przekąsek“.

Piękny bukiet — co? *W. M.*

II.

Volapück rzemieślniczy.

— Hej, chłopcze, dawaj mi tu zollstock i polirstahl, tylko duchem. A zabierz ze sobą winkel i brechstange.

Te słowa wymówił majster ślusarski w chwili, gdym wszedł do jego warsztatu.

Zanotowałem sobie wyrazy, a nazajutrz znów się u niego pojawiłem.

Łaskawy panie — rzekłem — wiem, że jesteś Polakiem, tutaj urodzonym i wychowanym, a sądząc z wymowy, nawet słabo władającym językiem niemieckim, czemu więc zadajesz pan sobie przymus i używasz takich wyrazów jak zollstock, polirstahl, winkel, brechstange i t. d.?

Spojrzał na mnie pytająco.

— A jakżeż mam mówić? — odparł — tak się te rzeczy nazywają u nas i tak je ja też nazywam.

— U nas, co to znaczy?

— U nas w rzemiośle ślusarskiem.

— To dziwne. Czyż nie lepiej byłoby mówić: calówka, gładzidło, kątownik, łom?

— Wie pan, że te słowa doskonale określają dane przedmioty, ale trudno wymagać, abyśmy łamali sobie głowy nad wynajdywaniem polskich wyrazów w celu zastąpienia niemi niemieckich. Roboty po uszy...

Przerwałem mu.

— Łaskawy panie, wcale nie potrzeba łamać sobie głowy, gdyż zrobili to za pana inni. Trzeba tylko wziąć to, co jest gotowe i zastosować u siebie.

Znowu spojrzał na mnie pytająco.

Ciągnąłem dalej:

— Dziwne to, że ja dziennikarz, wiem o tem więcej, niż pan, rzemieślnik. Otóż przed kilku laty w Łodzi, w tej niemieckiej Łodzi, tak zwana „Sekcya techniczna“ wydała „Książkę narzędziową“, zawierającą nazwy polskie wszystkich narzędzi, używanych w rzemiosłach...

— A skądże ja mam o tem wiedzieć? W dzienniku, który prenumeruję, nigdy o tem nie czytałem.

— I to prawda. Nasze dzienniki przepełnione są opisami „senzacyi“ wiedeńskich, paryskich, sprawozdaniami z „matchów footbalowych“ (czy jak się to tam nazywa), z wyścigów automobilów, kolarzy i t. d., ale na takie „głupstwa“ jak czystość języka, uwagi nie zwracają.

— Tak, tak, panie — o Wasińskim całe numery, o tym świniarzu Eulenburgu całe szpalty, o Wolflingach i tej... o tej... aha... Montigoso, czy jakoś tam... o zabawach i „fidrygałach“ to kupa panie — a o tem co pożyteczne to figa.

Po tej doraźnej krytyce dziennikarstwa, pan majster przyrzekł mi, że sobie „Książkę narzędziową“ sprowadzi. Czy dotrzyma?

III.

Jak mówić i pisać nie należy.

Zapoczątkował akcyę ... dziwoląg coraz częściej spotykany. Powinno się pisać: dał początek akcyi, rozpoczął akcyę, a jeszcze lepiej: rozpoczął działalność, zaczął działać.

„Nie mogę przybyć z powodu złego zdrowia“, (schlechte Gesundheit). Zdrowie jest zawsze rzeczą dobrą, tak jak cukier nie może być gorzki. Jeżeli jest złe, to już nie jest zdrowiem, lecz chorobą, która naodwrót nigdy nie może być dobra. Należy więc mówić i pisać: nie mogę przybyć z powodu choroby, z braku zdrowia, ponieważ jestem niezdrów.

Wypośrodkować (ausmitteln) obrzydliwy nowotwór, nieznaczący nic innego jak dowiedzieć się lub dojść do czego po pewnem badaniu, po namyśle.

Tak nie idzie (es geht nicht), germanizm coraz więcej używany zamiast polskiego: nie uchodzi, nie godzi się, nie wypada, nie przystoi.

„Wielka była jego zachłanność“. Po polsku: Chciwość jego była wielka.

„Pomimo wytrzymania egzaminów wstępnych“. Co prawda egzaminy nie są przyjemne, ale i wiele gorszych rzeczy „wytrzymać“ musimy. Należy mówić: pomimo zdania, złożenia egzaminów.

„Odkryto szkołę“ — rusycyzm. Powinno się mówić: otwarto szkołę.

„Co ja za to mogę?“ — germanizm. Powinno się mówić: nie moja w tem wina, albo: co temu jestem winien?

„Ma usposobienie, które zapoznaje przyjęte formy“ — germanizm. Można zapoznawać, poznawać kogo z kim, ale nie zapoznawać (verkennen) form, swych zdolności. Powinno się mówić: „nie uznaje przyjętych form“, „zapomina o przyjętych formach“, „zaniedbuje, lekceważy przyjęte formy“. Geniusz zapoznany (z kim? z panem Kacprem czy Antonim?) — geniusz nieznany, zapomniany.

Telegramma, programma — tak coraz częściej mówią w Warszawie (rusycyzm) zamiast program, telegram.

„Czy jest u ciebie pióro?“ — po polsku: czy masz pióro?

„Pochód z pochodniami wypadł (ist ausgefallen) wspaniale. Po polsku, udał się, powiódł się wspaniale. Zresztą pochód z pochodniami to masło maślane. Lepiej mówić: korowód z pochodniami.

Odszkodowanie (die Entschädigung). Po polsku: wynagrodzenie, zwrot szkody.

Dzięki oznacza podziękowanie, jakże więc można pisać: „Dzięki sknerstwu mego stryja zostałem bez grosza“, albo „dzięki marnotrawstwu mojej żony wpadłem w długi“ — a jednak wciąż spotykamy się i z powodzią, „dzięki której tysiące ludzi zostało bez chleba“ i z niedołęstwem, „dzięki któremu zachwiał się byt stowarzyszenia“. Jest rzeczywiście za co dziękować!

Wiedeńska „dyrekcya poczt“ zażądała od naszej Redakcyi podania terminu wychodzenia „Straży Polskiej“, warunków prenumeraty i t. d., a na końcu zamieściła uwagę, że „numer próbny zechce być dołączonym“. A jakby ten numer uparł się i nie zechciał, aby go dołączono? Na szczęście nie był uparty i pozwolił się dołączyć. *kb.*

Ludzie dobrej woli — zapisujcie się do „Straży Polskiej“ i popierajcie jej cele!

Ludzie dobrej woli — zgłaszajcie się na delegatów „Straży Polskiej“!

Ludzie dobrej woli — zakładajcie Koła „Straży Polskiej“!

Członkiem „Straży Polskiej“ może być każdy Polak bez różnicy płci, którego przyjmie Zarząd główny lub Zarząd Koła.

Wkładka na rok 1908 wynosi 2 k. 40 h.

Kogo stać na to, daje więcej.

Kronika „Straży Polskiej“.

Zarząd główny straży Polskiej mianował delegatami WPanów: Zygmunta Kolasińskiego, nauczyciela w Tarnobrzegu i Zygmunta Rozwadowskiego w Jaśle.

Zarząd główny wybrał osobną komisyę, która wyłącznie się zajmuje opieką nad młodzieżą przybywającą do Krakowa ze stron dalszych na czas wakacyjny. Wysyłają ją dobrzy obywatele, pojmujący, że dla tej młodzieży, zmuszonej nieraz uczyć się w języku obcym, nie mającej sposobności zapoznać się z dziejami i literaturą ojczystą, powietrze Krakowa ma własność leczniczą. Pobyt jej w starej stolicy, w mieście pamiątek narodowych działa orzeźwiająco na ducha, na odporność. Młodzież ta przybywa z różnych stron, bo wszędzie znajdzie się ktoś, co udzieli jej pomocy pieniężnej. Ale często ta pomoc jest niewystarczająca, a przytem idzie o opiekę, o ułatwienie pobytu, a wreszcie o to, aby paro-albo kilkotygodniowy pobyt wyzyskać jaknajlepiej, aby młodzież ta widziała co godne widzenia, słyszała co godne słyszenia, aby powróciła do dalekich stron rodzinnych lub na obczyznę z umysłem wzbogaconym, z sercem podniesionem. „Straż Polska“ chętnie podjęła się tego zadania, wymagającego ofiarności czasu i pieniędzy. Praca to cicha, nie na popis, nie dla reklamy jednostek — odbywa się też bez mówek, przyjęć, bez ogłaszania w dziennikach imion „zasłużonych pracowników“.

31. maja odbyły się dwa wiece „Straży Polskiej“: w Grybowie i Sierszy. Na pierwszym z nich delegatem Zarządu głównego i referentem był prof. Michał Magiera, na drugiem dr. Jan Wróbel. Na obu wiecach uchwalono bojkot towarów pruskich i popieranie celów „Straży Polskiej“.

W końcu lipca lub w pierwszych dniach sierpnia odbędą się wiece Straży Polskiej w Zakopanem, Krynicy, Szczawnicy, Nowym Targu, Poroninie, Rabce i Iwoniczu.

W przyjęciu wycieczek ludowych bierze udział kilku członków „Straży“. Prezesem komitetu, działającego pod firmą Związku turystycznego, jest członek naszego Zarządu dr. Jan Wróbel. Niestrudzony prof. M. Magiera witał lub żegnał ciepłem słowem kilka wycieczek.

W tych dniach odejdzie do Namiestnictwa kilka podań o zatwierdzenie zawiązanych kół „Straży“.

Delegatami „S. P“. w towarzystwie „O własnych siłach“, są p. Marya Siedlecka i dr. Kazimierz Jordan Rozwadowski.

Sekcya prasowa „Straży Polskiej“ powzięła myśl wydawnictwa w języku ruskim dziełek i broszur dla tego odłamu ludu polskiego we wschodniej Galicyi, który nie włada już niestety mową ojczystą, a jest zarzucany wrogimi nam wydawnictwami ruskimi. Sprawa ważna i wymagająca przedwstępnych badań, to też sekcya postanowiła zawiązać stosunki z patryotycznemi kołami wchodniej Galicyi, aby wspólnie obmyśleć plan działania.

Powstała w łonie „Straży“ myśl urządzenia na jesień towarzyskiej wycieczki do Warszawy. Jestto wstyd, że urządzamy wycieczki towarzyskie do Wiednia, Pragi, Pesztu, a o Warszawie nikt jeszcze nie pomyślał. Na 100 krakowian ze sfer inteligentnych i zamożniejszych zna Wiedeń... stu, Pragę i Peszt przynajmniej dwudziestu, a Warszawę, dobrze licząc, dziesięciu. Sprawą wycieczki do Warszawy zajmie się osobny komitet. Bliższe szczegóły podamy w przyszłym numerze.

Odpowiedzi Redakcyi.

Drowi S. M. w T. Dziękujemy za dobre słowo. To co pan donosi o agitacyi dygnitarzy pewnego Towarzystwa przeciw „Straży“, całkiem nas nie dziwi. I tu mamy to samo. Tych panów trwoży szeroki zakres działalności „Straży“, boją się jej rozwoju, aby ich dygnitarstwa nie zmalały. Nie podoba im się i to, że przy „Straży“ naszej stanęli ludzie niezależni, którzy nie będą szli na rękę żadnym „politykom“ i nie pozwolą nikomu, żeby „Straż“ uważać za drabinkę do posad, do karyery, do reklamy. Nie zważajmy na tych panów i na ich „patryotyczną“ działalność.

Panu K. S. w S. Niech pan przeczyta powyższą odpowiedź panu T. a będzie miał pan wyjaśnienie. Zgadzamy się zupełnie na określenie przez Pana tej „szlachetnej roboty“. Patrzymy na nią, jak na to zasługuje, a jeżeli nie ustanie, otwarcie wystąpimy z faktami, nie szczędząc nikogo.

Panu W. Niestety, nie możemy korzystać z propozycyi. Pismo nasze nie płaci honoraryów. Praca redakcyi i współpracowników jest całkiem bezinteresowna.

Czcionkami Drukarni Związkowej w Krakowie (ul. Mikołajska L. 13) pod zarządem A. Szyjewskiego.